

OBSZAR LGD

„Dziedzictwo i Rozwój”

w legendach, wierzeniach
i historiach mieszkańców



Europejski Fundusz Rolny na rzecz
Rozwoju Obszarów Wiejskich



„Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich Europa inwestująca w obszary wiejskie.” Wydatek współfinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Osi 4 Leader Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013. Instytucja Zarządzająca Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013 – Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi.

SPIS TREŚCI

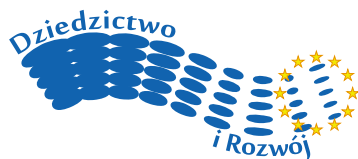
Legenda o Zwoleniu – <i>Zbigniew Poręcki</i>	4
Moja własna historia o założeniu Zwolenia – <i>Małgorzata Grabara</i>	7
Baśń o tym jak mała Nadziejka, uzdrowiła swą matkę cudownym zieleń z iłżeckiego lochu – <i>Małgorzata Kosel</i>	9
Chcecie to wierzyć, chcecie – nie wierzyć – <i>Renata Pogorzelska-Wojtaszek</i>	12
Bucik królowej Jadwigi – <i>Agnieszka Cibor</i>	16
Legenda o powstaniu nazwy miejscowości Wielgie – <i>Agnieszka Skoczylas</i>	21
Opowieść o trzech braciach – <i>Aleksandra Sokołowska</i>	22
Legenda o Augustowie – <i>Genowefa Kulik</i>	24
Legenda i historia o miejscowości Gózd w gminie Gózd – <i>Janina Bekier</i>	25
Wesele w Brzezinkach Starych (lata trzydzieste XX wieku) – <i>Janina Wolszczak</i>	27
Spacerkiem przez park w Wielgim – <i>Kazimierz Niedziela</i>	32
O diabłach i duszach pokutujących – <i>Monika Krześniak</i>	34
Wigilia i Boże Narodzenie – <i>Monika Krześniak</i>	36
Judaszowe srebrniki – <i>Natalia Przepiórka</i>	38
Obrazki z dzieciństwa – <i>Tadeusz Konarski</i>	42
Niezwykła historia małej wioski – <i>Teresa Binias</i>	45



OBSZAR LGD

„DZIEDZICTWO I ROZWÓJ”

W LEGENDACH, WIERZENIACH
I HISTORIACH MIESZKAŃCÓW



Fotografie:

R. Niedźwiedzki (okładka – *GFDL and CC*) J. Siudecki (str.6),
M. Gienza (str. 31, 32), arch. Bundeswehry (str. 44)

Projekt graficzny, skład i łamanie:

Piotr Basa

© Copyright by LGD „Dziedzictwo i Rozwój” 2014

Nakład:

1 000 egzemplarzy

ISBN 978-83-929043-8-0

Wydawca:

Lokalna Grupa Działania Stowarzyszenie „Dziedzictwo i Rozwój”
ul. Wojska Polskiego 80A, 26-700 Zwolen
tel/fax 486762029
stowarzyszeniedir@tlen.pl
www.dir.zwolen.com

Druk:

**biały
drukarnia kruk**

ul. Kleeberga 14B, 15-691 Białystok
Tel.: (+48) 85 868 40 60
e-mail: druk@bialykrak.com

Oddajemy w Państwa ręce kolejną już publikację współfinansowaną ze środków UE w ramach osi 4 Leader Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013. Tym razem jest to pokłosie konkursu zorganizowanego przez Lokalną Grupę Działania Stowarzyszenie „Dziedzictwo i Rozwój” pt. „Obszar LGD w legendach, wierzeniach i historiach mieszkańców”. Odzew na ogłoszone przedsięwzięcie był dla nas miłym zaskoczeniem. Cieszył fakt, że legendy i historie związane z Ziemią Jana z Czarnolasu zostały spisane przez ludzi w różnym wieku. Swoich sił w konkursie próbowały zarówno 8-latki jednej z okolicznych podstawówek, jak również osoby w wieku 60+. Niniejsza publikacja stanowi zbiór autentycznych historii, opowiadań będących wyłącznie wytworem wyobraźni piszącego oraz legend, które do tej pory przekazywane były w formie ustnej z pokolenia na pokolenie. Niniejsze wydawnictwo pozwoli uchronić je od zapomnienia. Obszar objęty Lokalną Strategią Rozwoju (gminy Ciepiałów, Gózd, Iłża, Jastrzębia, Jedlnia – Letnisko, Kazanów, Pionki, Policzna, Przyłęk, Tczów i Zwolen) częstokroć był inspiracją dla Wielkich – Kochanowskiego, Malczewskiego, Dygasińskiego, nie dziwi więc fakt, że również dziś jest on źródłem natchnienia. Dzięki temu poznają Państwo etymologię nazw miast Zwolen oraz Iłża, niezwykle historie związane z dworem Jana Kochanowskiego, Królewskimi Źródłami i wiele innych.

Dziękujemy wszystkim za nadesłane prace, szczególnie gratulujemy laureatom, a Państwu życzymy miłej lektury.

Iwona Sałek
Specjalista ds. wdrażania LSR

ZBIGNIEW PORĘCKI

LEGENDA O ZWOLENIU

Było to dawno, oj dawno, dawno temu. Najstarsi ludzie tego nie pamiętają. Wiedzą jeno tyle, że tak było, bo musiało tak być. A było to tak.

Śród żyznych pól, kwiecistych łąk i sadów owocnych, nad małą rzeczką usadowiła się niewielka osada, którą zamieszkiwał dzielny i pracowity lud. Schludne chaty i czyste obejścia dobrze świadczyły o swoich właścicielach, o ich gospodarskim zmyśle i pracowitości. Klekot boćków, kumkanie żab, brzęczenie pszczoł i porykiwanie inwentarza stanowiły miłą dla uszu muzykę.

Czasem zdarzały się jakoweś krzyki burzące tę sielską harmonię dźwięków ale zdarzało się to rzadko i przeważnie pod wieczór, gdy któryś z gospodarzy wracając do domu zahaczył o karczmę.

Nawet Pan Jan Kochanowski (mieszkający opodal) siedząc pod swą ulubioną lipą poświęcił temu zjawisku zgrabny czterowiersz:

*Śnać rozum utraciły,
Niektóre białogłowy,
Co gębę wydzierają,
Na męskie połowy.*

Ale, jak już mówiliśmy zdarzało się to rzadko. Jednakowoż bez owej karczmy życie byłoby nudne i monotonne. Spełniała ona, jakby to przyrównać do dzisiejszych czasów, rolę Baru i Domu Kultury zarazem. Można było tam iść i potańczyć, podjeść troszeczkę jak i zwołać zebranie mieszkańców.

I właśnie razu pewnego w sobotni wieczór niemal wszyscy mieszkańcy, po kąpieli, przebrani w odświętne stroje stawili się w owej karczmie gromadnie. Zajechała do ich osady modna kapela przygrywająca do tańca. Grano oberki, kujawiaki polki i krakowiaki. Wszyscy bawili się doskonale. Od przytupywania i podskoków wióry leciały z podłogi.

Stary Bartłomiej tak kręcił zawijasy z młodą Witoszową, że poślizgnąwszy się wjechał pod stół szczupakiem. Oj było śmiechu, było.

Młody Pędzimizsz rozochocony miodem i muzyką wskoczył na stół i jął wyśpiewywać na cały głos:

*Tańcy se dziewucha,
Biedna i bogata,
Trzęsie w czasie tańca,
Czym chata bogata....
Rozległy się głośne śmiechy i oklaski, więc ciągną dalej fałszują niemiłosiernie:
Jak na lutni
Grajek brzdąka,*

To se puści czasem...

Na szczęście nie zdążył skończyć i spadł ze stołu prosto w objęcia Gruchmonowej, która śmiała się najgłośniej.

Wtem tubalny głos dał się słyszeć.

– Cichojta ludziska! Cichojta!

Kapela grać przestała i gromkie słowa Grubego Maćka dotarły do wszystkich uszu. Nastąpiła cisza. Gdzieś nad stołem latała mucha brzęcząc niemiłosiernie.

Maciek Powoli zdjął czapkę i trzepnął nią muchę wzbijając w powietrze tumany kurzu, jako że czapka nie była prana od trzech pokoleń. Naród zaczął gwałtownie kaszleć, a zabita mucha odleciała jak gdyby nigdy nic.

– Ludu mój ukochany! – dramatycznym głosem zaczął Maciek – wybiła dla nas czarna godzina! Szmer niepokoju przeszedł przez salę.

– Od szwagra jadę i niedobrą nowinę wiozę.

– Ale co, jak o co się rozchodzi. Gadaż wreszcie!

– Powiem wam, jeno miodu dajcie bo niemożliwie mi w gębie zaschło.

Wziął tęgiego lyka.

– Dobry ten nasz miodek gryczany.

Przyssał się do dzbana ponownie, że nie można go było oderwać.

– Gadaż, że no wreszcie – pokrzykiwano z każdego kąta – Gadaż!

– Podobnież jutro z samego rana zajadą do nas „królewskie”, co by nam nowe zarządzenia ogłosić!

– Oj, nic dobrego z tego nie będzie. Oj, nie będzie – powtórzyli ludziska.

Już i do zabawy serca nikt nie miał i w cichości rozeszli się do chałup.

Z samego rana dnia następnego trzech konnych zajechało pod domostwa. Jeden dał w róg, drugi niemiłosiernie walił w bęben, trzeci wrzeszczał na całe gardło:

– Bywajcie tu wszyscy! Bywajcie! Jegomość Miłościwie Nam Panujący Król zarządza co następuje:

Od dziś na czerpanie wody ze studni potrzebne jest ZEZWOLENIE. Na rozpalanie ognisk potrzebne jest ZEZWOLENIE. Na zbieranie grzybów i chrustu w lesie potrzebne jest ZEZWOLENIE. Na budowę chałupy potrzebne jest ZEZWOLENIE. Na wypasanie krów potrzebne jest ZEZWOLENIE...

Było jeszcze tego do diabła. Zezwolenie, zezwolenie i jeszcze raz zezwolenie. Jak żyć? Jak żyć???

Zezwolenia wszystkie płatne i do tego można było je uzyskać na zamku u księcia, codziennie od poniedziałku do piątku w godzinach 6.00 do 15.00.

Ludziska stali na dworze jeszcze długo po odjeździe królewskich, stali i łzy ocierali ukradkiem z oczu. Jeno Maciej nie stracił animuszu. Zawołał młodego cieślę Chocibora i rzekł do niego:

– Skocz no duchem do warsztatu i zbij tablicę stosowną, na której napis się umieści.

Młodziakowi nie trza było dwa razy powtarzać, w mig się sprawił i tablica przed Maciem stała. Ten wziął kawałek węgla i koślawo acz wyraźnie napisał: BEZ ZEZWOLEŃ. Pokazał paluchem napis i głośno przeczytał:

– Bez zezwoleń! Będziem żyć jak długo się da po staremu. Bez żadnych zezwoleń Rozumieta?!

Naród zakrzyknął jak na komendę

– BEZ ZEZWOLEŃ – i wszyscy udali się do karczmy na przedyskutowanie sprawy. Tablica na długim słupku została wkopana przy wjeździe do osady, która to w szybkim tempie rozrosła się, podwajając liczbę ludności i domostw. Bogactwo było widać z daleka, a jak wiadomo bogactwo kłuje w oczy. W niedługim czasie na horyzoncie pojawił się obłok kurzu, niewróżący nic dobrego.

– Konne jadą! Konne! Pewnikiem to znów królewskie.

Na szczęście, jak to się mówi, Maciek był na „posterunku”. Przywołał Chocibora i kazał mu migiem wziąć piłę i ze stojącej tablicy odpiłować pięć liter. Chłopczysko duchem skoczył stanął przed napisem i dawaj głowić się których pięć. Tych z lewej czy z prawej. Oj czochrał się po łbie, kombinował a królewskie tuż, tuż. Jako, że był leworęczny śmignął piłą i uciął pięć liter z lewej strony. A w tym właśnie momencie podjechali wysłannicy księcia, który zawsze działał w imieniu Króla. Jeden z nich głośno przeczytał napis a raczej to co z niego zostało:

– Z W O L E Ń . O niezła nazwa wspomnę Księciu Panu niech list śle do Króla i jakieś prawa miejskie dla was wyprosi. Ale, cosik mi się widzi, że wy za mało zezwoleń kupujecie.

Wszyscy obstąpili posłanników i dało się słyszeć:

– Nie no, jak prawa miejskie dostaniem, to będziem kupować że ho, ho. Nic, tylko od rana do wieczora będziem kupować.

I tak się stało. Osada przerodziła się w piękne miasteczko o nazwie ZWOLEŃ.

A skąd ta nazwa to my tylko wiemy. I niech to będzie naszą tajemnicą.

I ja tam byłem...



Lata 1970-1975, widokówka ze Zwolenia, fot. J. Siudecki.

MAŁGORZATA GRABARA

MOJA WŁASNA HISTORIA O ZAŁOŻENIU ZWOLENIA

Dawno, dawno temu, lecz nie za górami i za lasami, ale tu na tej ziemi żył stary wdowiec Gotard. Był poważany wśród szlachty i jego głos miał duże znaczenie w dyskusjach. Miał prześliczną córkę Wolę. Dziś powiedzielibyśmy Wiołę, ale owa historia wydarzyła się za czasów króla Władysława Jagiełły. Wola była piękna i młoda, lecz nie mogła sobie znaleźć odpowiedniego kandydata na męża. Owszem, zdarzali się mężni i przystojni chłopcy, którzy się jej podobali, ale niestety owi młodzieńcy nie mieli żadnych szans u jej ojca. Gotard był bardzo opiekuńczy, surowy i wymagający dla swojej córki, a jeszcze bardziej dla jej adoratorów. Chciał znaleźć dla niej jak najlepszego męża. Wola z każdym dniem coraz bardziej martwiła się o swoją przyszłość, gdyż inne dziewczęta już dawno były mężatkami, a ona ciągle była panną.

Pewnego dnia, gdy Wola wracała ze zbioru malin, ujrzała młodzieńca w zbroi na koniu. Dopiero po chwili zauważyła, że obok niego na koniu siedzi jeszcze jeden rycerz w podeszłym wieku. Starszy spojrział się na nią i uśmiechnął się szeroko. Wydawało się jej, że skądś go zna.

– Witajcie piękna damo! – odezwał się starszy. Wola tylko skinęła głową. Młodszy jeszcze bez ostróg i pasa rycerskiego zsiadł z konia i uklonił się przed nią.

– Nie poznajecie mnie? Jam jest stary Zbych Cielątko z Lisina, przyjaciel twego ojca a ten tu oto młodzian to Janko – syn mój jedyny. Po wyprawach, Bóg dał łupy i wróciliśmy na ziemię naszą. Janka nie pamiętasz? Toż to jako dziatki hasaliście razem na okrągło.

– Zbycha poznajem, ale czyż to zaprawdę Janko jest?

– Ano Janko, zmężniał i wydoroślał po tych wojnach.

Janko od momentu ukłonu odezwał się dopiero teraz.

– Toć to dziwuję się, dziwuję i nie mogę się wydziwować jakże panienka wypiękniała! Wola zarumieniała się i rzekła:

– A z ciebie Janko młodzian nie do poznania! Toż zaraz noc zapadnie, a wasz dwór daleko. Toteż ostanicie u nas, zapraszam w nasze progi.

– Dziękujęm z serca, niech i tak będzie jak mówisz, prowadź nas do wsi – odrzekł Zbych. Janko wziął kosze malin od Woli, posadził ją na koniu i ruszyli ku wsi. Całą drogę młodzian zerkał z zachwytem na dziewczynę, a policzki Woli płonęły.

Zaniepokojony długą nieobecnością Woli Gotard wyszedł jej naprzeciw. Zdziwił się bardzo, gdyż ujrzał swoją córkę na koniu u boku przystojnego młodzieńca. Dopiero po

chwili zobaczył swojego starego przyjaciela. Z okrzykiem radości Zbych i Gotard padli sobie w ramiona. Gospodarz wyprawił wielką ucztę na cześć szczęśliwego powrotu najlepszego druha i jego syna. Wszyscy bawili się świetnie, a młodzi nie odrywali od siebie wzroku. Po hucznej nocy, nadszedł nowy dzień, goście odjechali, ale Gotard i Wola obiecali pomoc w gospodarowaniu wsi.

Minęło kilka miesięcy, młodzi zbliżyli się do siebie, nawet zaplanowali zaręczyny, lecz Gotard pomimo wielkiej sympatii do ojca adoratora swojej córki, nie był całkiem przekonany do młodego Cielątka jako kandydata na męża. Jednak wiedział, że tym razem jego córka nie ulegnie i dał im ojcowskie błogosławieństwo. Po krótkim czasie odbyły się zaręczyny, a niedługo potem huczny ślub. Janko udał się na wojnę z Krzyżakami. Tam uzyskał tytuł rycerza i zarazem szlachcica, zdobył tak wielkie łupy, że mógł pożyczyć dużą sumę pieniędzy królowi. Władca w zastaw oddał wieś rycerzowi, a Jan, aby przypodobać się Gotardowi nazwał ją na cześć teścia i ukochanej: Gotardowa Wola. Będąc na licznych wyprawach osłuchiwał się wielu historii swoich towarzyszy i postanowił postąpić podobnie jak oni. Mianowicie chciał uzyskać prawa miejskie dla swojej wsi. Jednak nie było to proste. Po kilkumiesięcznej wyprawie wrócił do domu, gdzie czekała go utęskniona żona z radosną wiadomością: Janko miał zostać ojcem. Ta informacja jeszcze bardziej zmobilizowała go do tego, aby nadać prawa miejskie swojej wsi. Lecz zbliżał się czas porodu i nastąpiły nieoczekiwane komplikacje zdrowotne u ciężarnej żony. Z tego powodu zatroskany szlachcic zapomniał o założeniu miasta, nie wyruszył również na wojny. Nadeszła zima i w każdej chwili mogło nastąpić rozwiązanie. Do Gotardowej Woli przyjechał stary Gotard i Zbych, aby oczekiwać przyjścia na świat wnuka. Stan zdrowia żony pogorszył się jeszcze bardziej, a we wsi panował ponury nastrój. Pewnego zimowego wieczoru wojska polskie zatrzymały się na postój we wsi Cielątków. Janko ugościł ciepło rycerzy, troszcząc się o ich nocleg i stawę, jednocześnie prosząc o modlitwę za ciężarną żonę. Następnego dnia o świcie wojsko szykując się do dalszej drogi, odśpiewało swoim zwyczajem „Bogurodnicę”. W czasie rozpoczęcia pieśni nastąpił długo oczekiwany poród. Dziecko przyszło na świat w momencie słów, „Matko zwolena Maryja”. Był to chłopiec, urodził się silny i zdrowy, a stan zdrowia matki polepszył się. Janko już wiedział, jak syn będzie się nazywał. Postanowił nadać mu imię Swolen. Nazwał go na cześć słów pieśni usłyszaną w trakcie przyjścia na świat pierwszego syna. W podziękę Maryi zamówił mszę świętą w pobliskim kościele i przypomniał sobie o postanowieniu założenia miasta. Miesiąc później Jan Cielątko wyruszył do Krakowa, aby starać się o uzyskanie praw miejskich dla swojej wsi, którą postanowił nazwać imieniem syna, tym samym nareszcie zdobył sympatię swojego teścia. 20 lutego 1425 roku oficjalnie Gotardowa Wola została miastem o nazwie Swolen. Janko wrócił już jako sołtys do domu szczęśliwy i spełniony Mały Swolen chował się świetnie, a dwa lata później doczekał się siostry. Rodzina Cielątków żyła długo i szczęśliwie w pięknym mieście Swolen, który z biegiem lat zmienił swoją nazwę na Zwoleń.

MALGORZATA KOSEL

BAŚŃ O TYM JAK MAŁA NADZIEJKA, UZDROWIŁA SWĄ MATEŃKĘ CUDOWNYM ZIELEM Z IŁŻECKIEGO LOCHU

Wysokie wzgórze iłżeckiego zamku porastał wielki tajemniczy las. Poniżej wzniesienia wzdłuż rzeki Jelży mieszkali okoliczni mieszkańcy małej osady. Na samym krańcu domów, gdzie rzeka swą błękitną wstęgą, robiła malownicze zakola, w starej chatynce mieszkała mała Nadziejka. Miała ona rumianą, zawsze uśmiechniętą buzię, dwa jasne warkoczyki i oczy błękitne jak letnie niebo. Nadziejka mieszkała ze swoją matką, którą bardzo kochała i starała się we wszystkim jej pomagać. Dobroć dziewczynki emanowała z niej blaskiem i wszystkie leśne zwierzęta, przyjaźniły się z dziewczynką.

Pomogła małym wiewiorkom, gdy burza wyrzuciła sosnę, w której miały dziuplę. Innym zaś razem, gdy mądra sowa zwichnęła skrzydło Nadziejka, przybiegła jej z pomocą. Pielęgnowała bardzo troskliwie, dopóki leśna pacjentka nie wyzdrowiała. Dziewczynka miała więc wielu przyjaciół.

Aż nadszedł dzień, smutku w domu dziewczynki, bo zachorowała jej matka, a w owych dawnych czasach, nigdzie nie można było kupić lekarstw. Lekarzy było również niewielu, a ci żyli tylko na dworach królów i sami przyrządzali rozmaite mikstury. Był również i nadworny lekarz na iłżeckim zamku. Ale ani mama ani Nadziejka ani leśni przyjaciele nie mieli pieniędzy by kupić lekarstwo od nadwornego medyka. Dziewczynka leczyła więc chorą mamę sama czym tylko mogła – a to zaparzyła ziół z leśnej polany, a to dała maści zrobionej z miodu leśnych pszczołek, a to herbatkę z suszonych jagódek. Lecz wszystkie starania Nadziejki – by choć troszeczkę mateńce się poprawiło – były daremne.

– Droga mateńko – udam się po poradę do Złej Czarownicy, która mieszka w samym środku iłżeckiej puszczy, tam gdzie największa gęstwina. – Ona na pewno da mi lekarstwo, które Cię uzdrowi.

Zła Czarownica mieszkała w domku zrobionym w pniu najstarszego drzewa, które miało chyba tysiąc lat. Wszyscy mieszkańcy osady Iłża, opowiadali o Złej Czarownicy niesamowite historie. A to, że na kogo spojrzła, zamieniał się w żabę, a to, że czyniła różne uroki. Lecz Nadziejka postanowiła, mimo strachu iść po poradę do Złej Czarownicy. Pożegnawszy się ze swoją chorą mateńką, wyruszyła z domu, kiedy jeszcze było ciemno. Szła i szła cały dzień. Już myślała, że nigdy nie odnajdzie domku Złej Czarownicy, kiedy poczuła zapach dymu z ogniska. Zaczęła iść w tym kierunku. Zarośla były coraz rzadsze i niższe i nagle na skraju polany tyłem do Nadziejki nad rozpalonym ogniskiem stała pochylona starsza kobieta. Nagle kobieta

powiedziała – Podejdź do mnie mała dziewczynko, wiem po co przyszłaś, i nie bój się mnie. To co ludzie o mnie mówią jest nieprawdą, nie jestem Złą Czarownicą. Ludzka plotka, czyni wiele zła na tym świecie. – Nadziejka podeszła ostrożnie do Złej Czarownicy, która okazała się dobra pocziwą staruszką. Opowiedziała o swoim zmartwieniu. A staruszka powiedziała – Nadziejko, twoją matkę uratuje tylko ziele życia. No więc daj mi je! Proszę nad wszystko!

– Niestety Nadziejko, całe zapasy z mojej młodości niestety się wyczerpały. Zrywałam je wtedy, kiedy ten dąb, w którego pniu teraz mieszkam, bym małym drzewem. Już zapomniałam nawet, gdzie go zbierałam. Pamiętam tylko o jednym miejscu, w którym na pewno go znajdziesz.

– Proszę, powiedz mi Dobra Czarownico, gdzie go odnajdę! Wejdę po nie choćby na najwyższą górę, zejdę po nie w najgłębszy wąwóz, ale muszę je zdobyć, by moja matusia wyzdrowiała.

– Ziele to nie lubi słońca, więc chyba domyślasz się gdzie rośnie? – Nie – odpowiedziała Nadziejka.

– Ziele życia rośnie w najgłębszym lochu iłżeckiego zamku. Pójdę z tobą i wskażę ci, który to loch, ale po ziele sama musisz zejść. Może ci pomóc jedynie... opowiem ci jak dojedziemy do celu.

I tak Dobra Czarownica z Nadziejką szły i szły, aż doszły do baszty iłżeckiego zamku. Tam nieopodal był loch, którego czarna czeluść, straszyla wszystkich. Nawet najwaleczniejszych rycerzy. Dziewczynka spojrzała na Dobrą Czarownicę, ta zaś patrzyła na Nadziejkę takim wzrokiem, że wszystko było jasne. To ten loch! To tam w skalnej szczelinie rośnie ziele życia! I tylko to ziele ma magiczną moc i uzdrowi chorą matkę Nadziejki. Dziewczynka stała przerażona, że łzami w oczach, różne myśli miały się w jej głowie, ale sama dobrze wiedziała, że nie ma innego wyjścia.

Rzekła do Dobrej Czarownicy – kocham nad wszystko moją matkę, ona musi wyzdrowieć, schodzę! I wtedy Dobra Czarownica powiedziała: ziele życia rośnie na samym dnie lochu, w miejscu gdzie jest tafla wody podziemnego źródła. Dawniej to podziemne źródło miało odpływ do rzeki iłżanki, ale to było wiele, wiele lat temu. Jeśli dalej tak jest, nie będziesz musiała schodzić do lochu. Mogą Ci pomóc złote cyraneczki, które popłyną pod prąd źródlanej wody i zerwią ze skały gałązkę zioła.

Nadziejka, spojrzawszy na Dobrą Czarownicę, zaczęła wołać cyranki. Ale one nie słyzały. Wtedy przyszły jej z pomocą leśni przyjaciele: rodzina wiewiórek i mądra sowa. – One to zawołały cyranki i opowiedziały jak ważne jest dla dziewczynki zdobycie ziele życia.

Cyranki zaczęły płynąć pod prąd źródłanego nurtu, który sączył się z podziemi do rzeki Jełzy, by dalej nurkując dostać się do lochu. Nadziejka mocno trzymała za nie kciuki, ale nagle co chwila kolejno kaczki wypływały z niczym na powierzchnię wody. Okazało się, że podziemne przejście zostało zawałone skalnymi załomami. Już Nadziejka z Dobrą Czarownicą straciły nadzieję, że choćby jedna z cyranek wpłynie do lochu i zerwie choćby listeczek ziele i wróci z nim szczęśliwie. Czekają, czekają aż tu nagle pluski wody. Udało się! Najmniejsza ze stada cyranek wypłynęła na powierzchnię Jełzy mając w dziobie gałązkę ziele życia.

Dziewczynka, Dobra Czarownica oraz wszystkie zwierzęta z lasu serdecznie podziękowały kaczuszce za pomoc. I czym prędzej zaczęły biec do domu Nadziejki, gdzie leżała jej chora matka. Gdy dobiegły do młyna, spotkały młynarza.

– A gdzież to tak biegniesz mała dziewczynko? A cóż się stało, że Czarownica wyszła z iłżeckiej puszczy?



Iłża w 1655 roku, ryc. Erika Dahlbergha

– Młynarzu, biegnę do chorej mateńki, by dać jej napar z ziela życia, które pomogła mi zdobyć Dobra Czarownica. I proszę głoś wszystkim, że Czarownica z głębi puszczy, nigdy nie była zła. To Dobra Czarownica, dobra wróżka, która pomagała i pomaga ludziom. To ludzie się od niej odwrócili.

Na te słowa młynarz odparł – wsiadajce! Mam wóz zaprzężony, podwiozę Was do chorej matki.

Jechali, jechali, aż dojechali. Nadziejka czym prędzej zeskoczyła z wozu, wbiegła do chatki, do izby gdzie leżała chora mateńka.

– Mateńko, będziesz zdrowa, już nastawiam wodę na kominku, już robię napar z ziela życia. Wkrótce będzie zdrowa. Nadziejka powoli podała w rozchyłone usta chorej kropelkę naparu, chwilę odczekała i jeszcze jedną kropelkę.

Po chwili mateńka westchnęła głęboko, jakby przebudzona ze snu i siadła na łóżku zdrowa i silna jak dawniej.

Radość niebывała zapanowała w chatce na skraju iłżeckiej osady. Cieszyła się Nadziejka, Dobra Czarownica, młynarz, rodzina wiewiórek, mądra sowa i całe stado cyraneczek, które przyfrunęły spod baszty.

Takie to było dawne zdarzenie, na skraju iłżeckiej puszczy. Las tam był wielki: rozciągał się hen daleko aż na skraj Gór Świętokrzyskich. W lesie tym były przeróżne skarby: pod niskimi gałęziami świerków, rosły krągłe kapelusze borowików, w trawach rumieniły się rydze, na tle zielonych mchów błyszczały koralowe borówki i ciemne jagody a całe polany zdobiły nieprzebrane ilości czerwonych poziomek. Ze starych sosen sączyła się żywica, lśniąca niby szczere złoto, a w barciach pracowicie krzątały się pszczoły, które urabiały nieprzebrane ilości miodu.

Ale chyba największym skarbem tego miejsca, była odwaga i dobroć żyjących tam mieszkańców.

Tak to kończy się baśń o błękitnookiej Nadziejce, która odważnie zmierzała do celu i pomogła wyzdrowieć swojej mateńce.

RENATA POGORZELSKA-WOJTASZEK

CHCECIE TO WIERZCIE, CHCECIE – NIE WIERZCIE

Niegdyś we wsiach, dworach, a zwłaszcza w miejscach związanych z historią regionu, krążyły liczne opowieści o zmorach, strzygach, duchach i tym podobnych stworzeniach, które mogła wymyśleć tylko bujna ludzka wyobraźnia. Gawiedź uwielbiała zbierać się w jednym miejscu i wysłuchiwać niezwykłych bajań. Okres zimy był tym czasem, gdzie ustawały wszelkie prace polowe, a więcej przesiadywano w chałupach, zaściankach czy salonach dworskich. Wówczas to najczęściej opowiadano sobie o różnych niesamowitych wydarzeniach i legendach związanych z konkretnym miejscem czy osobą.

Czarnolas leżący w gminie Policzna, znany większości Polakom, jeżeli nie z autopsji, to z literatury, związany tak nierozdzielnie z życiem i twórczością Jana Kochanowskiego, posiadał własne liczne podania i legendy wiążące się z parkiem i dworem. Domu poety już wprawdzie dawno nie ma, lecz częściowo na jego fundamentach wznosi się dziś neogotycka kaplica, w krypcie której znajdują się trumny późniejszych właścicieli Czarnolasu. Ale na razie wróćmy do legendy związanej z Janem Kochanowskim.

Otóż w głębi parku przy końcu alei lipowej, w miejscu upamiętniającym słynną lipę i symbolicznym sarkofagiem z napisem Urszula znajduje się podłużny, sporej wielkości kamień, tzw. ława, na której – według legendy – siadywał niegdyś „ojciec poezji polskiej” i w cieniu rozłożystego drzewa tworzył najpiękniejsze strofy. „Ława” ta posiada do dnia dzisiejszego dziwną moc. Kto bowiem na niej usiądzie i w skupieniu przywoła w swej wyobraźni postać mistrza Jana, płaszącą nieopodal Urszulkę oraz dowolny fragment jego poezji, sam jest na najlepszej drodze do zostania poetą.

Możecie nie wierzyć, ale doświadczyłam podobnego uczucia. W tym magicznym miejscu, gdy park otulała noc, a księżyc w pełni niczym latarnia rozświetlał aleję lipową, w oddali, jakby opar wodny, ponad stawem, sunęła ku mnie znajoma postać. Zjawisku temu wtórowało nocne pohukiwanie sów. Ulegało się złudzeniu, że to słysząc płacz dziecka, może Urszulki? Odtąd ilekroć mam wenę twórczą, towarzyszy mi przekonanie, że to „sprawka” Kochanowskiego...

Dwór klasycystyczny, w którym obecnie ma siedzibę Muzeum poety, posiada własne, niesamowite historie zakłète w jego murach. W obecnym kształcie wzniesiony przez rodzinę Jabłonowskich zmieniał właścicieli. Ostatnim z nich był Bożeniec Jełowicki zmarły w 1942 r. i pochowany w krypcie kaplicy usytuowanej nieopodal dworu. Tam również znalazł wieczny odpoczynek jego teść, Stanisław Zawadzki, którego postać po śmierci często miała widywać jedna z pokojówek szczególnie z nim zaprzyjaźniona. „Skarbnicą wiedzy” na temat

tych i wielu innych niezwykłych wydarzeń był zmarły w końcu grudnia 2013 r. wieloletni pracownik kompleksu muzealno – parkowego, Stanisław Gajda.

W tym miejscu pojawia się kolejna historia. Pan Stanisław został dozorcą całego obiektu zaraz po wyzwoleniu, gdy we dworze powstał Uniwersytet Ludowy (Muzeum utworzono dopiero w roku 1961). Jego dyrektorem był wówczas Józef Delega. Opowiadał on mrozące krew w żyłach historie, jak to młode dziewczęta, słuchaczki uniwersytetu nocujące w przedostatniej sali, graniczącej z kaplicą, były budzone w nocy dziwnymi zjawiskami. Przy zamkniętych oknach i drzwiach nagle zrywał je z łóżek podmuch wiatru, w oddali widać było ogniki i jakaś niewidzialna siła zrzucała im kołdry.

W tym samym czasie w pierwszej sali po prawej stronie od wejścia, znajdowała się gminna biblioteka, którą prowadziła Wanda Wdzięczna. Otóż pewnego razu, gdy pozostała dłużej w miejscu pracy przygotowując się do spodziewanej kontroli, spostrzegła nagle samostnie spadające z półek książki, a nagły przeciąg, który się pojawił, zgasił lampę naftową. Przestraszona, uciekła w wielkim popłochu. Rano, gdy pracownik Gajda przyszedł do pracy, zastał drzwi wejściowe do dworu otwarte, a w progu – wygaszoną lampę naftową. Na początku pomyślał, że w nocy było włamanie, ale później całe zjawisko wyjaśniła mu bibliotekarka.

Zupełnie jednak niewiarygodną historię, znaną mi już z autopsji, przeżył ś.p. redaktor literatury, Kazimierz Bosek z Warszawy, zwany detektywem Jana Kochanowskiego. Pojawił się pewnego dnia w Muzeum, prosząc ówczesne przewodniczki (mnie i panią Wierę Mortonową) o materiały dotyczące Jana Kochanowskiego. Jak się później okazało, szukanie śladów i zawiłości związanych z życiem i twórczością „Mistrza”, stało się obsesją życiową pana Kazimierza.

Na skutek częstych wizyt redaktora w Czarnolesie nasze relacje stały się mniej służbowe. W czasie kolejnej bytności na gościnnej ziemi czarnoleskiej, pan Bosek poprosił o możliwość noclegu. W miejscu, w którym od lat mieści się obecnie gabinet kierownika, był pokój gościnny wyposażony w łóżko, ławę oraz dwa fotele. W korytarzyku przy ścianie graniczącej z salą wystawową stała potężna, bogato zdobiona szafa gdańska. Do pomieszczeń tych było osobne wejście w lewym skrzydle budynku. Wewnątrz ów pokój gościnny miał drzwi prowadzące do pierwszej sali wystawowej, które były zamknięte na klucz (będący w posiadaniu pani Wierę).

W tym miejscu muszę wspomnieć o Wierze Morton, która wraz z mężem, pisarzem, Józefem Mortonem, prowadziła Muzeum niedługo po jego powstaniu w latach 60. Spotkałam się z nią w 1974 r. w czerwcu, kiedy przyjechałam do Czarnolasu wraz z dziećmi po burzliwych kolejach losu, by objąć kierownictwo Muzeum. Pani Wiera wówczas kierowała placówką sama, bez męża. Pan Morton po rozwodzie napisał książkę „Mój drugi ożenek”, która doczekała się adaptacji filmowej. Relacje dwojga „zapaleńców” w sferze kultury zostały jednak zerwane, ponieważ prywatnie ich drogi rozeszły się.

Od początku z Wierą Morton stanowiłyśmy zgrany duet, gdyż znalazłyśmy się w podobnej sytuacji życiowej. W pracy i w domu byłyśmy razem (wspólne mieszkanie w służbowym domu), a wraz z nami ekipa pracowników. Jednym słowem nasz dom był otwarty – wchodził każdy, kto chciał. Jednak atmosfera była zaiste familijna. W naszym domu (pierwotnie oficynie dworskiej, która powstała wcześniej, niż dwór, w którym znajduje się Muzeum, t.j. w końcu XVIII w.) zarówno pani Wiera, jej wnuczka (którą wychowywała), jak ja i moje dzieci z otwartymi oczami chłonęliśmy opowieści pana Gajdy oraz przygodnych gości o tzw. strzygach i zmorach. Przecież Czarnolas to wieś. W latach 70. większość



Jan Kochanowski nad zwłokami Urszulki, obraz Jana Matejki

gospodarzy miała konie i stajnie. Stąd też opowiadania o tym, jak konie pracownika Gajdy rano złane potem miały idealnie zaplecione w warkocze grzywy. Według podań ludowych czyniły to zmyły i nie sposób nie uśmiechnąć się na myśl, że wiercono, iż dokonywały tego (nieświadomie) dziewczyny będące siódmymi córkami w rodzinie. Ale wróćmy do historii pana Kazimierza Boska...

Ponieważ pan redaktor zamierzał zagościć w Czarnolesie ok. tygodnia, dostał klucz od drzwi zewnętrznych. Po penetracjach terenowych wracał na ogół dosyć późno, spisując swoje spostrzeżenia na poszczególnych fiszkach. Pewnego razu późnym wieczorem po zebraniu z młodzieżą czarnoleską w naszym domu szykowałam się do snu. Nieoczekiwanie przestraszyło mnie nagle, głośne dobijanie się do drzwi wejściowych. Gdy z lękiem je otworzyłam, w drzwiach stał bladosz z kropkami potu na twarzy redaktor Bosek. Szczerze mówiąc, wyglądał, jakby ujrzał upiora. Zaprosiłam go do środka, częstując herbatą. Był cały roztrzęsiony. A oto, co mi opowiedział: Twierdził, że gdy wrócił zmęczony na nocleg, zaniepokoiło go to, że zgromadzone fiszki, które pozostawił na stoliku, były porozrzucane na wszystkie strony, a fotele, które stały przy stoliku, były przesunięte daleko od niego. Opowiedział, że gdy zgasił światło i położył się spać, po chwili usłyszał jakby ciężkie kroki z sali muzealnej, po czym kroki te przekroczyły drzwi (przecież zamknięte na klucz) i przeszły koło niego w stronę szafy gdańskiej w korytarzyku. On natychmiast zerwał się przerażony, zapalił światło, zajrzał do trzydrzwiowej szafy i nie znalazłszy niczego, uciekł w panice do naszego domu, szukając ratunku.

Przyznam, że z początku zaistniała sytuacja wydała mi się komiczna, zwłaszcza, że wcześniej redaktor deklarował się jako realista i na pewno nie wierzył w duchy ani żadne nadprzyrodzone zjawiska. Pomimo, iż udostępniłam mu własny pokój, do rana nie zmrużył oczu, cały czas był wstrząśnięty. Przez całą noc nasza trójka zastanawiała się, co też mogło spowodować to niewytłumaczalne zjawisko. Dopiero późnym świtem Bosek się uspokoił

i starał się pragmatycznie wszystko zrozumieć. Do dziś jednak nie wiadomo, czy relacje mądrego i zdrowo myślącego człowieka wynikały z autentycznego doświadczenia, czy też z jego przywidzenia. Znając jednak osobę – nie sądzę – był wielkim racjonalistą. To, co go spotkało, było spowodowane jakąś nieznaną nam siłą. Po raz kolejny okazuje się, że to, co nam „oświeconym” wydaje się niezrozumiałe i nie możemy tego pojąć za pomocą zmysłów, nie znaczy, że nie istnieje.

O całej historii, która przydarzyła się redaktorowi Boskowi usłyszała jego żona, Marzena Bauman – Bosek. Opisała epizody tej historii w książce *Na tropach Jana z Czarnolasu*, która ukazała się po śmierci znakomitego redaktora. My współcześni, możemy w takie opowieści wątpić, ale nie możemy powiedzieć z pewnością, że to się nigdy nie wydarzyło.

Jakiś czas potem, gdy wieczorem oprowadzałam swoich gości po Muzeum, również miały miejsce dziwne wydarzenia. W drugiej sali wystawowej, gdzie znajdowała się wówczas ozdobna skrzynia z popiersiem renesansowej damy, pies, który nam towarzyszył, zaparł się łapami i zaczął mocno ujadąć, a nawet wyć, zwrócony w kierunku skrzyni. W tym czasie w przedostatniej sali coś huknęło z całą mocą. Wydawało się, że to wieko od skrzyni. Wszyscy obecni byli przekonani, że pies wyczuł „ducha”...

Każdy ma prawo interpretować owe zjawiska jak chce, ale zany już nieżyjący historyk z UMCS-u w Lublinie, profesor Kazimierz Myśliński, uciekinier z Poznania w czasie wojny, współautor monografii o Zwoleniu opowiedział mi ciekawą historię związaną z czarnoleskim dworem. W czasie okupacji znalazł tu schronienie sędzia z Poznania z rodziną, dobry znajomy ostatniego właściciela. Tuż przed wybuchem wojny wydał on wyrok skazujący na jakiegoś groźnego przestępcę. Zanim go osadzono, pojawił się u Jełowickiego, pytając o sędziego. Gospodarz, niczego nie podejrzewając, wskazał mu pokój gościa. Na oczach żony i dzieci bandyta zastrzelił go, dokonując zemsty. Była to sala, w której wiele lat później dziwnie zachował się nasz pies. Znawczy tematu twierdzą, że miejsca, w których kogoś spotkała nagła śmierć, obdarzone są jakąś niewytłumaczalną energią, która w różny sposób może się uaktywniać.

Opowiadał mi pan Józef Mierzejewski, znany w Czarnolesie restaurator, który przez krótki okres czasu prowadził w podziemiach Muzeum kawiarenkę, że gdy któregoś razu sprawdzał faktury, coś nagle stuknęło i cała dokumentacja ze stołu została rozrzucona. Zaczął się czegoś obawiać i zrezygnował z dalszej działalności. Kiedy po wielu latach mój syn założył w podziemiach kawiarenkę, również opowiadał mi o dziwnych zjawiskach (głównie akustycznych), które miały miejsce w piwnicach. Jednak on jakoś przechodził do porządku dziennego wobec tych doświadczeń, nie bał się, a z dalszego prowadzenia działalności gospodarczej zrezygnował z zupełnie prozaicznych powodów.

Tak czy inaczej jedno jest pewne – park czarnoleski i dwór to miejsca niezwykle. Człowiek może się tu wyciszyć, oderwać od zgiełku wielkiego świata, zanurzyć w krainę przyrody i poezji. Pozwolę sobie przytoczyć na zakończenie fragment własnego wiersza napisanego po poetyckim spotkaniu w Czarnolesie: *Oto już świta nowego dnia początek/ Cyt... urwał się wątek, ktoś mi przeszkodził./ A może to ranne wstają zorze?/ Oto nowy wstaje dzień./ Gdzieś, między drzwiami znajomy przesunął się cień.*

Obecnie rzadko słyszy się takie opowieści. Dzieci i młodzież siedzą przy komputerach, tabletach czy „komórkach”, a dorośli po znoej pracy – przy telewizorach. Moje pokolenie powoli odchodzi na drugą stronę, dlatego cieszę się, że to, czego doświadczyłam i tym, co zasłyszałam, mogę podzielić się z innymi.

AGNIESZKA CIBOR

BUCIK KRÓLOWEJ JADWIGI

Dawno, dawno temu, w czasach rycerstwa i dworskich bali, w Środkowej Europie była kraina zwana Królestwem Polskim. Ludność ją zamieszkująca pochodziła z plemienia Polan, a władał nią król z rodu Piastów. Nadszedł jednak kres tej dynastii, a ostatni król z niej pochodzący – Kazimierz Wielki – był już sędziwego wieku.

Król ten, choć wspinały i wielką sławą osnuty, nie tylko w królestwie, ale i poza jego granicami, nie doczekał się następcy. Oddał więc dziedzictwo tronu polskiego swojemu krewnemu Ludwikowi Andegaweńskiemu, który był także królem Węgier. Kiedy zaś on doczekał lat sędziwych, uzyskał u panów polskich prawo do tronu dla jednej ze swoich córek. Szlachta polska postawiła jednak warunek królowi. Młoda królowa miała rządzić państwem z Krakowa osobiście. Po śmierci króla, do Krakowa przyjechała więc młodzianka jedenaastoletnia królewna. 16 października 1384 r. Jadwiga Andegaweńska została koronowana na króla Polski. Choć była bardzo młodym władcą, miała gruntowne wykształcenie, gdyż wychowywała się na najwspanialszym wtedy dworze europejskim w Budzie. Po koronacji problemem dla polskich szlachciców stał się narzeczony młodej królowej Wilhelm Habsburg. Połączenie ich małżeństwem nie przynosiłoby Polsce realnych korzyści, dlatego zerwano zaręczyny. Szlachta polska zaproponowała małżeństwo z Jadwigą księciu litewskiemu Jagielle. Ślub dałby duże korzyści Polsce: przyłączenie do Korony Litwy i Rusi. Jadwiga obawiała się małżeństwa z Jagiełłą, gdyż był on poganinem. Jako roztropna królowa zgodziła się na to małżeństwo, bo wiedziała, że przyniesie to korzyści i bezpieczeństwo Polsce. Jak postanowiła, tak też się stało. W 1386 r. w katedrze na Wawelu wyszła za Jagiełłę, który na chrzcie przyjął imię Władysław. Obawy królowej okazały się być bezpodstawne, gdyż Jagiełło był człowiekiem niezwykle delikatnym, bardzo dbającym o swoją higienę, a do tego niezmiernie szanował i dbał o swoją małżonkę. Jadwiga była niezwykle mądrym i odważnym władcą. W 1387 r. wyruszyła na czele wyprawy zbrojnej na Ruś



*Portret królowej Jadwigi,
autor Marcello Bacciarelli*

Czerwoną. Zaprzysięgła ziemie te do Królestwa, odbierając osobiście przysięgę od miast Rusi m.in.: Lwowa. Po ślubie Jagiełło został królem Polski i od tej pory zimy spędzał w Wilnie, a lata w Krakowie, a że droga była to daleka, szukał król miejsca w którym mógłby odpocząć w uciążliwej podróży i znalazł – tu w Jedlni. Król bawił tam niemal każdego roku, spędzając tu zapusty, czyli ostatki. Wydawał bale, turnieje rycerskie i rozmaite łowy. Bywało też tak, że trzeba było podejmować ważne dla kraju decyzje. Zjeżdżało wtedy do Jedlni mnóstwo dygnitarzy i książąt, wspólnie z królem radzili tu w Jedlni nad sprawami państwa. Jagiełło prawdziwie doceniał tutejszą puszcę niegdyś jedleńską, dziś kozienicką zwaną, w której mógł swobodnie oddawać się swojej pasji – łowom. Puszcza ta była wspaniała, pełno tu było wszelakiej zwierzyny: zające, sarny, ale także grubszy zwierz się trafił: żubry, niedźwiedzie, jelenie, czy tury nie były tu rzadkością. Prawdziwie jednak dominowały w puszczy pszczoły, z których to Jedlnia słynęła w całym Królestwie. Zysk jaki osada czerpała z miodu pszczelego kilkakrotnie przewyższały dochody Radomia, który wtedy już był na prawach miejskich. Król był pod wielkim wrażeniem Jedlni, kazał więc wybudować sobie dwór piętrowy z modrzewia i regularnie to miejsce odwiedzał. Już w 1387r, a więc rok po ślubie z królową Jadwigą, król dał mieszkańcom Jedlni przywilej zwalniający ich z płacenia wszelkich podatków po wsze czasy. W przywileju tym zawarł też obowiązek dostarczenia do dworu drwa i jadła na czas jego pobytu, a także dostarczać sieci na miejsce łowów i dbać o puszcę by nikt jej nie grabił. Jednym z łowców, opiekunów puszczy był Jan z Jedlni. Król lubił go i często z nim czas spędzał na polowaniach. Jan jak nikt inny znał puszcę i rzemiosło swoje – myślistwo, a przy tym był prawym człowiekiem, wiernie królowi służącym, co władca doceniał i darzył go niezwykłą sympatią. W roku pańskim 1393 zdarzyła się rzecz niezwykła. Po święcie nawrócenia św. Pawła 25 stycznia, jak co roku spodziewano się przyjazdu króla z Wilna na zapusty. Jan ze swoim kamratem Maciejem objeżdżał puszcę. Nie zobaczywszy jeszcze orszaku króla, młodzieńcy postanowili urządzić sobie wyścigi. Wyjechali więc na królewski gościniec i ścigali się aż do wielkiej góry, z której widać było okolicę całą. Tętentem końskich kopyt i głośny śmiech młodzieńców roznosił się echem po puszczy. Maciej dojechał do szczytu wzniesienia pierwszy i z głośnym śmiechem przedrzeźniał Jana. Młodzian zrezygnowany spojrzawszy w dal i wtedy zobaczył niecodzienny widok: w oddali było widać orszak powozów. Rzekł więc do Macieja:

– Co to?

– To nie są króla powozy, pewnie dworskie od Krakowa ciągną, żeby go tu z Wilna powitać.

– A czemuż to nie jadą?

– Może spoczywają?

– Nie, coś się nie poszykowało. Wracaj do dworu po kilku jeźdźców i przybywaj tu niezwłocznie. Ja w ten czas pojadę im z pomocą.

Maciej oddalił się, a Jan tymczasem pognął w stronę orszaku. Kiedy dojechał do powozów, zauważył, że karetą do połowy kół utknęła w błocie, uniemożliwiając dalszą podróż. Paziowie starali się wypchnąć powóz, ale ziemia która po chwilowej odwilży była bardzo grząska, nie dawała im szans na to. Jan podjechał do orszaku i rzekł:

– Witajcie panowie, cóż się tu stało?

Paź odpowiedział mu na to:

– Kim waść jesteś?

– Jam jest Jan z Jedlni łowca miłościwie nam panującego króla Władysława. A wy skąd przybywacie?

– Z Krakowa dobrodzieju, wieziemy jaśnie panią by powitać w waszym dworze króla. Niestety karetą nam zaniemogła, niweczając podróż dalszą.

– Nie trwóście się jaśnie panie. Niebawem będą tu dworscy, pomogą wam do celu szczęśliwie dotrzeć.

W niedługim czasie przybyli wspomniani panowie i próbowali doczepiając swoje konie wyciągnąć karocę, lecz utknęła zbyt głęboko. Konieczne więc było wyjście jaśnie pani i jej dwórek na zewnątrz. Jan ustawił klacz swoją przy drzwiczkach karocy i otworzył je, wyciągnął dłoń do jaśnie pani wzrok spuszczać. Wielmożna pani chwyciła ją i opierając się na jego ręce wtuliła się w silną pierś Jana. Młodzian spojrzał przez chwilę na jej oblicze i zmieszał się strasznie po czym wzrok opuścił. Była bowiem niezwykle urody damą, jej oblicze jak śnieg białe okalały piękne włosy czarne ja heban, podkreślając delikatne rysy szlachackie. Pani ta zauważyła zakłopotanie Jana i z ciekawością przyjrzała się młodej urodziwej twarzy młodziana. Jan nie spojrzał na nią więcej, trzymając ją silnym ramieniem, drugą zaś rękę zajęta miał prowadzeniem konia i patrzył uporczywie w dal, obawiając się by pani ta nie odczuła najmniejszej niedogodności jazdy konnej. Jaśnie pani zaśmiała się delikatnie z jego honorowej postawy, tak by nie urazić dumy jego, a kiedy stali już bezpiecznie oczekując wyprowadzenia karocy spytała go:

– Jak cię zwą?

– Jan jaśnie pani.

Mówiąc to nadal wpatrywał się w dal nie mając śmiałości spojrzeć na jej oblicze ponownie.

– Nie lękaj się mnie Janie.

A kiedy po dłuższej chwili odważył się spojrzeć na nią, ujrzał w jej pięknym obliczu powagę i podziw.

– Jestem ci wdzięczna, żeś mnie z opresji wyratował Janie. Dziękuję.

– Nie masz za co mi pani dziękować. Obowiązkiem moim jest wszystkich gości króla godnie podejmować, a już w szczególności księżne.

Jan bowiem nie wiedział, że ma przed sobą Jadwigę Andegaweńską, królową Polski, mylnie biorąc ją za Annę księżną mazowiecką. Jadwiga na te słowa uśmiechnęła się delikatnie, z powodu nieświadomości młodziana, a kiedy weszła do karocy pogładziła go jeszcze po policzku, ujęta jego honorową postawą i rzekła:

– Niech ci Bóg błogosławi Janie.

– Dziękuję jaśnie pani.

To powiedziawszy skłonił się jej nisko i odjechał naprzód do eskorty karocy. Wrażenie jakie zrobiła na nim owa Pani trwało w nim bardzo długo. Zatrzymała się ona we dworze, a nazajutrz do Jedlni zawitał król, wracający z Wilna.

– Witaj w Jedlni miłościwy panie.

– Witaj Janie, jak się miewasz?

– Dziękuję jaśnie panie, Bóg przy zdrowiu mnie trzyma. A jakże się mają sprawy na Litwie miłościwy królu?

– Bogu dziękować pomyślnie. Powiedz mi lepiej jak tam puszcza, zwierzę się wybudzi?

– Dobrze wieści mój panie. W mesnie zbudził się niedźwiedź. Jeśli chcesz mój panie możemy na niego siłą założyć.

– Nie, chciałbym na niego teraz zapolować. Poradzisz sobie Janie?

– Mam kilkunastu łownych, mogę jeszcze sprowadzić ze wsi pomocników, ale musisz wiedzieć panie, że to rzecz niebezpieczna. Niedźwiedź wybudzony ociepleniem jest agresywny. Trzeba będzie niezwyklej do tego ostrożności.

– Wiem Janie, ale chcę spróbować. Ufam, że sprosisz temu zadaniu.

– Oczywiście mój panie.

Jak król postanowił tak też się stało. Jan zwołał pomocników i razem ruszyli na zasadzkę na niedźwiedzia. Była to daleka droga w głąb puszczy, gdyż mesne, czyli matecznik niedźwiedzi był w samym sercu lasów tych nieprzebytych. Miał więc czas król by porozmawiać z Janem o przygodach jakie go na Litwie spotkały, a i Jan opowiadał mu co się w Jedlni i w puszczy, w czasie nieobecności króla działo. Rozmowy te serdeczne, przerwało wspomnienia króla, które Jana poraziło.

– Małżonka moja królowa Jadwiga przybyła wczoraj do Jedlni. Opowiedziała mi o opresji jaka ją w podróży spotkała i jak ją z tego nieszczęścia wyratowałeś, jestem ci więc niezwykle wdzięczny za pomoc Janie.

Jan na te słowa zbladł i zaniemówił. Król zauważył jego frasunek i zdziwiony spytał:

– A cóż to się stało, że tak żeś pobladł Janie?

– Miłościwy królu, ja nie wiedziałem, że była to jaśnie pani królowa Jadwiga, mylnie biorąc ją za Annę księżnę mazowiecką.

Król na słowa Jana uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł:

– Nie, siostra moja Anna przebywa na Litwie obecnie, nie trwój się Janie, nic oprócz szacunku i wdzięczności do ciebie nie czuję. Małżonka moja i ja chcielibyśmy abyś w ramach wdzięczności odbył z nami jutro zapusty.

– Naturalnie będę jaśniepaństwu usługiwał.

– Nie chcę żebyś nam usługiwał, tylko z nami świętował.

– Wdzięczny jestem mój panie, ale propozycji tej zacnej przyjąć nie mogę, gdyż go-dzien jej nie jestem.

Król odpowiedział mu, iż sprzeciwu nie znosi i wydał Janowi rozkaz, by ten się na wspólne zapusty stawiał. Jan nie mógł więc odmówić królowi. Serce jego oblała trwoga, gdy pomyślał, iż będzie musiał się spotkać jutro z jaśnie panią. Po odbytym polowaniu król udał się na spoczynek, a Jan oporządzał złowioną zwierzynę. Kiedy sam także poszedł spać, długo oka nie mógł zmrużyć, gdyż głowa jego pełna była obaw. Nazajutrz cała ludność wioski zajęta była szykowaniem dworu na zapusty. Zewsząd zjeżdżali na to uroczyste święto panowie i panie w pięknych strojach. Wieczorem rozpoczął się bal uroczysty w dworze królewskim. Pięknie przybrana sala balowa rozbrzmiewa w delikatnych dźwiękach muzyki wspaniałej kapeli. Stoły uginają się pod smakołykami jakie ofiaruje tutejszej ludności puszcza. Dwórki z orszaku królewskiego i tutejsza, a także przybyła szlachta bawiła się wysmienicie przy dźwiękach wybornej muzyki. Król opowiadał wszystkim o odważnym czynie Jana, a ten zawstydzony patrzył w dół, pod tęsknym spojrzeniem pięknych panien i podziwem panów. Po kilku tańcach z królową, król odczuł zmęczenie, podziękował jeszcze na koniec Janowi i udał się na spoczynek. Młodzieniec także chciał już wrócić do swojej izby kiedy drogę zaszła mu królowa.

Uczyń mi Janie ten zaszczyt i zatańcz ze mną jeszcze nim udasz się na spoczynek.

- Pani, jam nie godzien takiego zaszczytu.
- Sprzeciwiasz się woli swojej królowej.
- Nie pani, ale byłoby to z mojej strony niestosownością.
- Nie obawiaj się Janie. Wiem, że od rana ciężko pracujesz, ale jeśli masz jeszcze siłę zatańcz ze mną.

Jan z bijącym sercem ujął więc dłoń Jadwigi i wyszedł na środek sali balowej. Prowadził królową niezwykle dostojnie, a w szybszych momentach muzyki obejmował delikatnie ramieniem królową i szybko skakali razem w rytm muzyki. Z ust królowej wydobywał się wtedy radosny śmiech, a tancerką była doskonałą. Kiedy ostatnie tony muzyki wybrzmiały z instrumentów grajków Jan skłonił się do samych stóp królowej, a i ona skinęła mu delikatnie głową.

- Udam się teraz na spoczynek, zechcesz towarzyszyć mi w drodze do komnat?
- Będzie to dla mnie zaszczyt jaśnie pani.

Mówiąc to wystawił swoje ramię w stronę królowej, która je uchwyciła i udali się do wyjścia. Całą drogę szli w milczeniu, ale nie była to cisza krępująca, przeciwnie, milczeniem tym wyrażali względem siebie niewypowiedziany szacunek i sympatię. Przy drzwiach komnaty królowej Jan ponownie skłonił się jej do stóp i chciał odejść lecz Jadwiga zatrzymała go.

- Zaczekaj Janie. Chciałabym ci coś podarować, abyś na zawsze ty i twoja rodzina miała pamiątkę po mojej i króla wdzięczności.
- Mówiąc to ściągnęła ze stopy atłasowy pantofelek i podała go Janowi.
- Pani nie mogę przyjąć tak wspaniałego daru.
- Przyjmij go Janie na znak mojej wdzięczności i przyjaźni. Sprawisz mi tym czynem wielką radość.
- Dziękuję jaśnie pani.

Jan skłonił się nisko, a królowa uśmiechnęła się delikatnie i odeszła do swoich komnat. Mijał czas, przemijały pokolenia, a buć Świętej Królowej Jadwigi został w rodzinie Jana i jest przekazywany z ojca na syna, z matki na córkę, aż po dzień dzisiejszy.

AGNIESZKA SKOCZYLAS

LEGENDA O POWSTANIU NAZWY MIEJSCOWOŚCI WIELGIE

Wielgie to malownicza miejscowość położona w gminie Ciepiałów, w dolinie rzeki Kosówki. Pierwsze wzmianki pochodzą już z 1234 roku, kiedy to przez Wielgie przebiegał szlak handlowy z Solca nad Wisłą do Radomia.

Bogata historia, ciekawe legendy i podania przekazywane z pokolenia na pokolenie zachwycają oraz nadają temu miejscu specyficzny i tajemniczy klimat.

Jedna z legend mówiąca o powstaniu nazwy miejscowości opowiada o potopie.

Wiele dni i nocy padał deszcz, poziom wód w rzekach podnosił się nieustannie. Ludzie z coraz większym smutkiem, a zarazem nadzieją spoglądali w niebo. Prosiли i modlili się o poprawę pogody, zaprzestanie opadów i choć odrobinę słońca. Niestety nadzieja z każdym dniem malała. W strachu przed utonięciem zebrali swój dobytek i udali się na największy szczyt. Idąc krok dalej postanowili zbudować tratwy, zgromadzili na nich pożywienie oraz zwierzęta., a z czasem woda uniosła ich ponad ziemię.

Dryfowali tak dni, tygodnie, miesiące. Niestety pożywienia ubywało, a w oddali nie widzieli nic prócz wody. Załamywali ręce i modlili się o przetrwanie.

Po kilku dniach ku ich radości opady zmalały, a na niebie znów zaświeciło słońce. Ciepłe, duże i promienne słońce. Nadal jednak ich zmartwieniem był brak pożywienia.

Pewnego dnia spostrzegli na horyzoncie czarny punkt. Początkowo nie wiedzieli coż to może być. Zbliżając się powoli dostrzegli, że to ogromne drzewo, wynurzające swoje konary ponad wodę.

Okazał się nim dąb, wielki, o rozpiętych gałęziach, na których zatrzymali swoje tratwy i czekali, aż woda opadnie. Z upływem czasu ludzie ujrzeli upragnioną ziemię.

Na cześć „Wybawcy” założyli u jego podnóża osadę, którą nazwali „Wielgie” odzwierciedlającą kształty drzewa.

Dąb rośnie do dziś dnia i zachwyca swym wyglądem i postawą. Otacza go piękny starodrzew podworskiego parku, w którym przebywali między innymi: malarz – Jacek Malczewski (który wielokrotnie przedstawiał na swoich obrazach okolice Wielgiego), pisarz – Adolf Dygasiński oraz Wacław Karczewski, który napisał powieść pt. „W Wielgiem” opowiadającą o troskach i życiu mieszkańców tej miejscowości. Dzieło to uznawane jest za pierwowzór „Chłopów” Władysława Stanisława Reymonta.

Wracając natomiast do naszego „bohatera” – dębu, o którym mówi się, iż jest następcą zagnańskiego Bartka, kolejną ciekawostką jest podanie mówiące o tym, że gościł on samego Władysława Jagiełłę, który wracając z bitwy pod Grunwaldem kierując się do zamku w Iłży, uciął sobie drzemkę pod naszym „Wybawcą”.

Dąb szypułkowy będący chlubą miejscowości został uznany za pomnik przyrody w 1994 roku decyzją wojewody radomskiego nr 7/91 i 17/94. Na dzień dzisiejszy drzewo mierzy 27 m wysokości, natomiast obwód u podstawy 10,4 m, a w pierśnicy 6,7m.

ALEKSANDRA SOKOŁOWSKA

OPOWIEŚĆ O TRZECH BRACIACH

Dawno, dawno temu, na skraju lasu, w małej leśniczówce mieszkała uboga, ale szlachetna i kochająca się rodzina. Ojciec był gajowym, a matka zajmowała się domem. Wychowywali trzech synów. Latem matka zbierała w lesie jagody, poziomki, grzyby i sprzedawała je w pobliskim miasteczku, synowie zaś pomagali ojcu rąbać drwa. Lata mijały, chłopcy dorośli i zapragnęli usamodzielnąć się. Postanowili wyruszyć w świat i tam poszukać pracy, aby w ten sposób odciążyć spracowanych rodziców. Kiedy opuszczali rodzinny dom, było im ciężko rozstać się z bliskimi, bo bardzo ich kochali. Mimo to, nie zmienili swojej decyzji.

Wędrowali długo po ciemnych lasach, polach i nieznanach drogach, zupełnie nie wiedząc dokąd iść. Powoli tracili już nadzieję, że ich los się odmieni. Była ciemna noc, a bracia byli głodni, zmęczeni i wyczerpani, kiedy nagle ujrzeli w oddali jarzące się jasne światło. Ich serca zabiły mocniej! Dotarli do urokliwej osady. Tam posilili się i ogrzali w małej karczmie. Po wieczery oraz krótkim odpoczynku rozmawiali z karczmarzem o tym, że wędrują w poszukiwaniu pracy. Właściciel zajazdu był dobrym człowiekiem i bardzo chciał im pomóc. Powiedział braciom, że niedaleko jest prowadzony wyrąb borów pod wsie i tam mogą się zatrudnić. Nazajutrz, gdy tylko wstali podziękowali karczmarzowi na informację i wyruszyli w drogę. Idąc rozglądali się obserwując piękne okolice. Bardzo im się podobało to małe miasteczko rozpostarte u stóp wzgórza zamkowego, a obok wijąca się jak wstążka rzeka, dalej jezioro z mnóstwem ptactwa wodnego. Osada ta nazywała się Ilża, była bardzo pięknym i malowniczym miejscem, a zarazem budziła grozę okolicznymi ciemnymi borami, w których nocą słychać było tylko pohukiwania sów i odgłosy dzikiego zwierza.

Gdy bracia po długiej wędrówce dotarli na miejsce zastali siedzącego samotnie i bardzo smutnego zarządcę. Zapytali go co się stało i gdzie są chłopci, którzy mieli rąbać i wywozić drzewa. On odpowiedział im, że odeszli, ponieważ nie ma pieniędzy, aby im zapłacić, bo niedawno został okradziony. Bracia wysłuchali całej historii i zrobiło im się bardzo smutno z powodu tego biednego mężczyzny. Przypomnieli sobie jak matka zawsze powtarzała, aby starali się pomagać innym i ratować w biedzie. Wspólnie podjęli decyzję, że za darmo wykarczują cały las, bo przecież wieś musi powstać, a zarządca sam nic nie robi. Kiedy on to usłyszał popłakał się ze wzruszenia i powiedział, że jeszcze nigdy nie spotkał tak dobrych i uczciwych ludzi. W zamian za pomoc mężczyzna dawał im codziennie jedzenie i dach nad głową. Bracia wykonywali pracę bardzo dokładnie i rzetelnie, mimo, że nie otrzymywali żadnej zapłaty. Dni upływały im przy ciężkiej pracy. Długo wycinali drzewa, wyrzucali korzenie i palili gałęzie. Po jakimś czasie zobaczyli, że cały obszar jest już gotowy do budowy domów. Mężczyzna bardzo się cieszył i zastanawiał się w jaki sposób może się od-

wdzięczyć braciom. Pewnego dnia wpadł na wspaniały pomysł. Zapytał braci czy podoba im się okolica. Oni jednogłośnie odpowiedzieli, że jest tutaj pięknie i bardzo by chcieli kiedyś tu zamieszkać. Po tych słowach zarządca już wiedział jak może podziękować za ich pracę, poświęcenie i dobre serce. Postanowił wybudować im domy oraz zaproponował, aby założyli tutaj swoje własne wsie. Bracia słysząc to byli szczęśliwi, że znaleźli wreszcie swoje miejsce i mogą się tu osiedlić. Z podziękowaniem przyjęli tę propozycję. Radowali się głównie z tego, że będą mieszkać blisko siebie i będą mogli się często odwiedzać. Niedługo potem w odległości kilku kilometrów stanęły trzy chatki, każda z nich inna, a wszystkie tak piękne i przyjazne. Braciom żyło się dostatnio i szczęśliwie, a zawdzięczali to własnej pracowitości i dobroci. Dbali o swoje domy i zagrody. Przygarniali do osad tych, którzy tak jak oni kiedyś, nie mieli dachu nad głową ani pracy. Wkrótce we wsiach zaczęli osiedlać się ludzie. Z czasem przybywało domów i zagrod. Rodzice często odwiedzali swoich synów i byli z nich bardzo dumni.

Nadszedł czas, aby każda wieś miała nazwę. Bracia długo zastanawiali się, ale nie mieli żadnego pomysłu. Z pomocą, a raczej z pomysłem przyszedł zarządca a jednocześnie ich przyjaciel. To on doradził, aby wsie nazwali po prostu od swoich imion, które brzmiały Walenty, Alojzy i Kajetan. Takie były początkowe nazwy trzech miejscowości. Z czasem nazwy te zmieniały się, a wraz ze zmianą końcówek przybrały ostateczną formę. Tak powstały nazwy trzech pobliskich wsi. **Walentynów** od imienia najmłodszego z braci, **Alojzów** od imienia średniego i **Kajetanów** od imienia najstarszego z nich. Oto historia jak powstały trzy wsie położone około siedmiu kilometrów od niewielkiego, ale pięknego i malowniczego miasta Iłża.

Opowieść może prawdziwa, może wymyślona, jednak te wioski istnieją wraz ze swoimi nazwami, ale jak to mówią w każdej bajce jest ziarno prawdy...



Drwale, autor Jean Francois Millet

GENOWEFA KULIK

LEGENDA O AUGUSTOWIE

*Dawno dawno temu jak legenda niesie
Pewien Król August polował w lesie*

*Nie – to nie był las, bo lasy są inne
To był bór to puszcza bogata w zwierzynę*

*Kiedys po kilku takich polowaniach
Stuknęła na drodze kozica czy łania*

*Król August strzelił kozica uciekła
Kozie nic, kozie nic giermek krzyczy z daleka*

*Czy to pech czy przeznaczenie sami osądzicie
Po długich naradach powstały Kozienice*

*Ruszyli więc dalej przez ten bór zielony
Zrzucił z grzbietu jeźdźca Kasztanek splotzony*

*Więc na tej polanie swój obóz rozbili
Przy wytrawnym winie coś tam uchwalili*

*A gdy zakończyli to biesiadowanie
Wydał taki rozkaz niech tu wioska stanie*

*I powstała wioska Półborem nazwana
A ta nazwa była w księgach zapisana*

*Minęło lat wiele a myśl była pusta
Trzeba zmienić nazwę od Króla Augusta*

*Chwała tobie Królu my wciąż pamiętamy
I twoim imieniem wioskę nazywamy*

JANINA BEKIER

LEGENDA I HISTORIA O MIEJSCOWOŚCI GÓZD W GMINIE GÓZD

Była to wiosna 1656 roku, kiedy to dywizja Czarneckiego ruszyła od Sandomierza zostawiając za sobą oblężone przez Szwedów miasto. Wojska Czarneckiego składające się z polskiej szlachty i chłopstwa ścigało wojska szwedzkie przez cały kraj, nie dając im chwili wytchnienia. Wśród chłopów był rycerz imieniem Maciej Awdaniec, który walczył u boku Czarneckiego. Ruszyli oni na północ i odnieśli zwycięstwo pod Kozienicami i Warką. Podczas wędrówki przechodzili szlakiem królewskim przez Ilżę, Skaryszew, gminę Gózd w kierunku Puszczy Kozienickiej.

Był to rok 1657, czas gdy wojsko Czarneckiego przechodziło przez nasze tereny, trwało właśnie święto skaryszewskiej parafii – odpust. Dookoła letnia pora, z okolicznych domów wszyscy chłopci wraz z rodzinami wyruszyli do odległej parafii Skaryszew, aby móc świętować. W tym właśnie czasie orszak wojskowy zatrzymał się na odpoczynek przy osadzie wiejskiej. Zatrzymali się przy niewielkiej chałupie stojącej pod lasem. Konie napiły się wody, ludzie odpoczęli. W chacie, przy której się zatrzymali mieszkała biedna wdowa z dzieckiem. Była to niewiasta bogobojna, a przy tym bardzo piękna. Rycerz zakochał się w niej bez pamięci. Pochodził on ze średniej szlachty i koniecznie chciał założyć rodzinę z kobietą, którą bardzo pokocha. Miał pięciu starszych braci, którzy niezbyt chętnie wyglądali go powracającego z wojny. Nie doczekali się jeszcze potomstwa, a Maciej marzył o tym by urodził mu się syn. Kiedy wraz z wojskiem wyruszał w dalszą drogę obiecał Bogusławie (bo tak nazywała się piękna wdowa), że po wojnie wróci do niej, poślubi ją i, że osiedlą się w jej rodzinnej miejscowości.

Działo się to wszystko na skraju puszczy Kozienickiej. Maciej Awdaniec służył w wojsku aż do końca wojny, lecz nie zapomniał o pięknej Bogusławie. Po zakończeniu wojny wrócił na skraj puszczy Kozienickiej by poślubić wybrankę swojego serca. Ona również czekała na niego wiernie, gdyż także pokochała Macieja. Rycerz wrócił z wojny bogaty, gdyż żołąd i łupy wojenne były sowite. Wzięli więc ślub w kościele, w którym niegdyś odbywał się odpust.

W małej osadzie przy trakcie, którym przechodziło wojsko Czarneckiego, stała karczma należąca do Żyda. W każdy wieczór schodzili się tu drwale z okolicznych lasów oraz chłopci, aby wypić gorzałkę i posłuchać skrzypiec po dniu ciężkiej pracy. I tak działo się co dnia. Śpiewy i krzyki zabaw słychać było do rana. Baby ze wsi lamentowały, bo chłopci rozochoceni nie żałowali grosza, wszystko przepijając i wydając na huczne zabawy w karczmie. Maciej, mądry szlachcic miał poważanie wśród okolicznej ludności, dlatego też zrozpaczone

kobiety skierowały się do niego po radę. Prosiły go słowami: „Ratuj, chłopcy nam się zatrąca. Cały dzień pracują, w nocy wszystko przepiją, przehulają, grosza do domu nie przyniosą. Nasze dzieci głodują. Pomóżcie nam”. Pomyślał rycerz przez kilka dni i zaczął działać. Puszcza Kozienicka była bogata w zwierzynę różnego rodzaju: sarny, dziki, jelenie, bawoły, żubry.

Zaszedł Maciej do karczmy, któregoś wieczora i ogłosił, że potrzebuje ochotników do pomocy, gdyż zamierza urządzić polowanie. Zgłosiło się większość chłopstwa, ciesząc się, że zarobią grosza tak łatwą pracą. Tak więc, chłopcy uzbrojeni w kije, noże, siekiery ustawili się nazajutrz przy domostwie pana Macieja. Żona jego, poczęstowała ich jadłem i piciem. Ruszyli wreszcie przedzierając się przez gęstwinę leśną, nasłuchując odgłosów zwierzyny leśnej. Jednak w lesie panował spokój, słychać było jedynie śpiew ptaków. Chłopcy znużeni spokojem w lesie, senni, zaczęli szukać miejsca na spoczynek. Rozeszli się więc, każdy w inną stronę, posiadali przy drzewach i posnęli. Przed polowaniem, żona Pana Macieja poczęstowała chłopów miodem pitnym swojej roboty, a była to mikstura znana tylko jej samej. Była ona bowiem miksturą działającą na wyobraźnię i świadomość, oraz podwajająca widzenie.

Chłopcy wyrwani z głębokiego snu rykiem jelenia, zerwali się na równe nogi i zaczęli się bić na oślep, uciekając w głąb lasu. Zaskoczeni chłopcy wiedzieli, że nie mają szans z tym podwójnym widzeniem siebie, uderzali się jeden o drugiego, wszyscy ranni legli na ziemię i tak znów zasnęli. Obudzili się dopiero następnego dnia. Ze snu wyrwał ich głos wydobywający się z głębi lasu. Słyszeli wciąż: „Wracajcie do chałup. Przepróście swoje baby i starajcie się, żyć z nimi w zgodzie. Jeśli tego nie zrobicie, nie wydobędziecie się z tego lasu”. Po tych słowach ukazał im się jeździec w bielej na białym koniu.

Chłopcy zaczęli uciekać w popłochu, przyrzekając poprawę swoim kobietom i, że nie wezmą więcej gorzałki do ust. Panek ubrany na biało zniknął, lecz po czasie chłopcy domyślili się przebrania Pana Macieja. Upłynęło trochę czasu, a we wsi wszystko wróciło do normy. Chłopcy nie przychodzili już do karczmy na hulaszczkę zabawy, jedynie w załatwieniu jakiejś sprawy, lecz szybko wracali do domów, tak jak należy.

Żyd sprzedał w końcu swoją karczmę Panu Maciejowi Awdańcowi, który osiedlił się przy karczmie wraz z żoną. Żyli tam szczęśliwie do końca swoich dni. Na pamiątkę tego zdarzenia miejscowość została nazwana Adamów. Potomek Awdańców, dziedzic Bekerman żyjący w latach 1800 – 1900, był właścicielem Puszczy Kozienickiej przylegającej do Gminy Gózd, dlatego potoczna nazwa tych terenów do dziś brzmi Bekermanówka.

Dwie kamienice w Radomiu przy ulicy Żeromskiego również należały do dziedziców Awdańca.

We wsi Gózd, na pamiątkę wędrowki wojsk Czarneckiego, szlak przez który przechodziła Dywizja Czarneckiego nazwano ulicą Czarnecką, która ciągnie się od Małęczyna przez Kuczki, przez Gózd w kierunku Lipin.

JANINA WOLSZCZAK

WESELE W BRZYZINKACH STARYCH

(LATA TRZYDZIESTE XX WIEKU)

Nieś odpoczywała po całotygodniowej pracy, w strój przebrana świąteczny. Po sadach dojrzewały jabłka i gruszki, w które rok latosi obrodził, kłóciły się w krzakach czeredy wróble, krzyczały dzieci, a nad wszystkim górowały mocne muzyki zapowiadające wesele u Niedory i Górczyków.

Powoli pustoszały chałupy. Ludzie, jako że dzień był pogodny, tłumnie ruszyli do kościoła, że ino po drogach pstrokaciły się różnokolorowe chustki kobiet, barwne bluzki dziewczyn: kraśne jak maki, białe i zielone. Roilo się od mrowia ludzkiego na drodze bartdziejskiej. Od kościoła w słonecznym powietrzu niosło się wesołe bimbanie sygnaturki jak śpiew ptaków nad łanem dojrzłym, a zaraz za tym metalicznym świergotem ozwały się mocnym potężnym basem duże dzwony kościelne.

Obie pary młode wracały z kościoła zaraz po mszy rannej od spowiedzi. Śluby ich za odbyć się miały dopiero po niesporach przed wieczorem. Niektórzy z przyjezdnych poszli na sumę, ostali się ino swoi, kucharki i muzykanci, czekający przybycia gości. Po południu zjawili się wszyscy hurmem, że ciasno zrobiło się w izbie i alkierzu od tej wrzawy i wesołości. Dalszych gości sprowadzali družbowie, po bliższych chodziła Franka ze starszą druhną, bo żaden z sąsiadów nie przyszedłby bez jej zaprosin. Trza przecie szanować honor swój.

Zawczasu sproszeni družbowie sprowadzili swe druheny. Wszystkie prawie dziewczuchy i chłopaki ze wsi były sproszone na tę uroczystość, tylko Kasi Barański nigdzie pójść nie pozwolił, mimo że rada była z całego serca.

Zaraz po południu nadjechał Bąk ze swoimi do Franki, we dwa wozy. Chłopak był urodny, choć jak twierdzili znający go bliżej, nie pierwszej młodości, co widziało się także z łysiny, kosmykiem lnianych włosów porosłej, starannie na bok uczesanych. Wyszli muzykanci z marszem ognistym ku nadzieżdżającym z krzykiem i śpiewaniem, że konie poczęły się bać bekiwej melodii harmonii i łomotu bębna. Z gospodarska, dumnie pan młody rzucił im na skrzypce złotą monetę, za nią posypały się liczne grosze ojców i swatów. Weszli gromadą do izby witając wszystkich hałaśliwie i wyniośle, bo w mieście niezgorzej se już podpiłi. Goniły go ciekawe spojrzenia druhen i družbów, gdyż mało kto znał go z bliska, a ci lub owi śmiechem parskali, żarty sobie robiąc z jego łysiny.

– Nie będzie Franka lampy świecić po nocy, bo i tak będzie jej widno.

– Albo do reszty włosów mu wyskubie.

– Jak sie kiedy pobiją, to kto wi.

Jantek i Wolski, którzy nad wszystkim piecze mieli, zaraz zabrali ich na suty poczęstunek, bo zaraz jechać mieli do ślubu, a gościom już się dobrze z głów kurzyło.



Wesele wiejskie, drzeworyt barwny

Pan młody zaraz do Franki chciał iść, ale go baby nie puścili, bo ubierała się dopiero w komorze, ubieranie szło powoli, ponieważ każda ze swatek miała swoje tajemne, a skuteczne zwyczaje, mające zapewnić szczęście na przyszłe lata pożycia małżeńskiego, które należało zastosować przed ślubem. Tak więc: zawiązywanie nogi pasemkiem włókna lnianego powyżej kolana na dobry urodzaj lnów, kombinacje różne przy przywitaniu z panem młodym zaraz i podczas ślubu.

Każda z druhen chciała znów przymierzyć upięty welon, co miało mieć skuteczny wpływ na przyspieszenie wesela tej druheny.

W izbie zaś odbywał się zacięty targ pana młodego i jego družbów z druhenami i swatkami o wieniec, bez którego nijak przecie do ślubu jechać. Baby darły się i pisywały, że musiał je cukierkami i podarkami zjednywać, nim go dostał. Nareszcie wyszła Franka z komory, ubrana w jasną długą suknię i welon upięty na głowie. Ozdobiony gałązką mirtu faliście spływał ku dołowi.

Na podwórzku zaczęto szykować wozy do wyjazdu do ślubu.

Druheny śpiewały:

*Wybieraj się nasa Frania, bo już cas,
Syroko droga, głęboko woda, ciemny las,*

A wtedy przywodziły kobiety:

*A zakładajcie te nase konie do cugu,
A wybierajcie się pani młodo do ślubu.*

Jakoż Franka z Bakiem, który już czekał przy progu, zaczęli żegnać się ze wszystkimi.

Macocha, w zastępstwie zmarłej matki, pobłogosławiła oboje, pokropiła wodą święconą i przy dźwiękach marsza wyprowadzono ich do fury.

Słońce opadało już nisko poza Tczowem, kiej wybrali się nareszcie. Już mieli wyjeżdżać, gdy na drodze rozległy się głośnie śpiewki Gorczykowych weselników. Jechali, co koń wyskoczy z krzykiem i graniem pierwsi. Rzuciły się za nimi Bąkowe furmanky, a że podpili się przedtem mocno, poganiali konie ostro, że ino chwiały im się na łbach wstążki kolorowe i trzepotały na wietrze. Lecieli jak burza na prześcigi, przez Brzezinki Stare, Żabówkę i Pragę. Rozbawione baby i dziewczuchy darły się, co ino tchu starczyło w piersiach, piskliwie, a zawiadacko wtórowali im druźbowie i krzyk czynił się taki na okolice, aż ludzie z chałup wychodzili patrząc na przyjezdnych i dziwiąc się onej ucieście.

Wychodzili ludzie z niesporów, kiej zajechali pod kościół hucznie, ze śpiewaniem, trzaskaniem batów i muzyką, która na pierwszym wozie jadąc, rznąła gromko.

Przyglądzieli pośpiesznie pomierzwione stroje i poszli parami do kościoła, gdzie ksiądz już czekał u ołtarza. Przystanęli pod chórem, a młode pary ze światłem w rękach szły do ołtarza dostojnie i powoli. Zostało się w kościele po niesporach dużo ludzi ciekawych tej ceremonii, przypatrując się, a uwagi czyniąc nad wszystkim. Najpierw szedł Niedora z Marysią, za nimi ich druźbowie, potem zaś Bąk z Franką i swoimi. Janek wystrojony w czarny, miejski garnitur, z motylkiem białym pod szyją, wydawał się dziewczuchom jeszcze piękniejszym niż zwykle, że niejedna wzdychając zazdrościła Gorczykównie tego szczęścia, bo szczęściem ino mogło być takie zamążpójście.

Lecz wszystkich urodą swoją zaćmiła Gorczykówna. W długiej, białej sukience, obcisłej w biodrach, a szerokiej u dołu, w welonie muślinowym sfałdowanym u czoła i owitym gałązkami zielonego rozmarynu, podobną była do róży białej rozkwitłej świeżym powabnym kwiatem.

Na uroczej twarzy, w spojrzeniu oczu czarnych powaga czała się jakaś pod uśmiechem powabnym. Na piersiach bujnych od ramienia prawego do lewego boku przepasaną była zieloną gałązką mirtu. Taką gałązkę ze wstążką kolorową miał u kłapy Janek.

Ślub odbył się uroczyście przed wielkim ołtarzem, rozjaśnionym światłem. Stary proboszcz w liturgicznych szatach odczytał modlitwy i przysięgę, którą Marysia powtarzała cicho przez łyzy, co gwałtownie cisnęły jej się do oczu. Bo różnie przecież bywać może w ciągu tych lat długich, jakie wieść przyjdzie ze sobą, we wspólnej doli czy niedoli – wiadomo. Choćbyś najmądrzejszym był człeku niezdolnyś zawczasu przejrzeć życia swojego, nie zgadniesz, co ci podściele pod stopy, kwitnące kwiaty czy osty, nie zgłębisz doli odległej.

To ci na to wspomnienie smutno zrobiło się Marysi, a to szczęście, co zdało się być tak blisko, odbiegło nagle daleko, że serce skurczyło się w piersi trwożnie, jakby je wiew wiatru zimnego owiał, a oczy zaszkliły się łzami, które płynęły i płynęły skądś z głębi rozżalonej duszy i kapać jeły na posadzkę obficie. Ale rychło odleciał ja ten smutek, bo nagle organista jął na chórze kuranty tak wycinać, że niejednen upity mocniej przytupywać zaczął z ochoty naglej zabawy, że upominać i pilnować trzeba było, by piosenki jakiej nie huknął, co przecie nie było zwyczajem dla miejsca świętego.

Po załatwieniu wszelkich formalności w zakrystii, zajęto miejsca na wozach i z powrotem konie ruszyły galopem. Muzykanci na skrzypcach i harmonii rznąli od ucha, kobiety starsze i drużny śpiewały piskliwie, co ino tchu w piersiach starczyło i leciało wesele tak pędem z uciechą oną, śpiewkami a hukaniem przez drogę tczowską, przez Budy, koło cmentarza, gdzie ścichło śpiewanie, a ten i ów czapkę zdjawszy z głowy westchnął pobożnie

za zmarłych, bo dzisiaj radość, a każdy kiedyś pójść musi do świętej ziemi, kiej czas na niego przyjdzie.

Za cmentarzem rozkrzyczeli się znów na dobre, ino że konie szły wolno, bo piach był okrutny, iż niektórzy z wozu musieli zejść i iść pieszo. A nad światem wieczór czynił się cichy, pogodny i ciepły. Mrok spływał na ziemię nieznacznie, powoli nad łąkami mgły stały się białe i ryczało wracające z pastwisk bydło. Drygliwa muzyka skrzypiec niosła się wskroś tych pól świeżo pooranych, nad rzyskami osnutymi pajęczyną, zapadała po miedzach dalekich w pomroce onej, co opuszczała nad ziemią szarą płachtę. Pod wsią znowu droga była lepsza, więc konie poszły stępa, a weselnicy wsiedli na wozy i rozkrzyczeli się ogromnie, wjechano bowiem między pierwsze chałupy Brzezinek. Mrok był już zupełny, gdy zajechali na miejsce i zabawa zaczęła się w całej pełni. Zeszli się gwarną chmarą sąsiedzi, po sieniach i za oknami zebrała się młodzież, ciekawa widoku bawiących się, a Wolska, jako że gospodynią była na weselu, placek kazała im na dwór wynosić i rozdawać.

Janek na chwilę wpadł ino do domu, zajrzał do bydła, znalazł Stefka, kazał mu sieczkę zasypać do toków oraz bydło napoić, co chłopak zaraz uczynił, a sam wrócił co prędzej do Gorczyka.

W Gorczykowej chałupie bawiono się w najlepsze. Muzykanci usiadłszy w kącie, jęli co ducha wyciągać kuranty takie, aż ciarki leciały po skórze od tych zawadiackich, a skocznych melodii, że każdy kto tylko jako tako kręcić się umiał, chwycił dziewczuchę swoją i do kółka szedł.

Napełniła się izba krzykiem i tupotaniem okropnym.

Ale niedługo było tej uciechy, bo kucharki w drugiej izbie nagotowały jadła różnego, a ludziom też do misek było pilno. Pownoszono ławy i stołki, ludzie zasiedli kolejno jeden przy drugim.

Zaraz też pownoszono miski pełne mięsa, kapusty, kaszy, galarety, a wszystko przepijano obficie wódką, która naokoło chodziła z rąk do rąk utartą koleją.

Najadłszy się do syta młodzi zabrali się znów do tańca, ale na krótko.

Na środku izby postawiono stół przykryty obrusem, na nim talerz pusty, obok drugi z zakąską i butelką wódki. Teraz stare kobiety wyszedłszy na środek jęły zawodzić dziwną ni to żalosną, zgoła niewesołą melodię:

*Zebyś ty chmielu na tyki nie loz,
nie robiłbyś z panienek niewiost;*

a potem, domagać się sprowadzenia panny młodej z komory:

*A dokoła starsy druzba, dokoła,
przyprawdź num panne młodu do stoła.*

Wicek, który był starszym musiał juści zadość uczynić tym życzeniom, tym bardziej, że dostało mu się sporo przyśpiewek mniej lub bardziej dotkliwych:

*A nas starsy druzba nie słysz,
posed do stodoły na mysy.
A nas starsy druzba nieraźny,
bo mu buciska do podłódzyska przymarzły.*

Jakoż wkrótce wyszła Marysia z komory prowadzona przez drużkę, długi welon okręciła na szyi, by jej nie zawadzał i stanęła obok stołu.

Zaczęły się ocepiny. Najpierw przyszli rodzice. Matka z zapłakanymi oczami, bo smutno robiło się na sercu na myśl, że musi córkę pomiędzy ludzi oddać na dolę czy nie-

dołę, choć tam powodu wielkiego do tych łez nie miała, bo oddawała ją nie byle komu, ale na gospodarkę kolenijną, w majątek nie byle jaki. Kilim położyła na stole wełniany, czysty, fabrycznej roboty, w tajemnicy przed wszystkimi w Radomiu kupiony. Marysia zwykłym obyczajem pod nogi ją ujęła, matka zaś w miłości wielkiej do siebie przycisnęła córkę, pocałowała w rumiane policzki, płacząc nie wiadomo czemu ze szczęścia czy z żalości.

Potem składali podarunki swoje i pieniądze: ojcowie chrzestni, sąsiedzi najbliżsi, krewni, a potem družbowie i druheny, a każdy z przyspiewką stosowną odchodził i każdego dawnym zwyczajem pod nogi podejmowała Marysia, a jej stryjna Walkowo kieliszkiem wódki częstowała i zakąską. Matka chrzestna podarowała chusteczkę kraśną, jedwabną; ciotka sztukę jedwabiu na bluzkę, a insi kładli zwyczajnie pieniądze, ile kto chciał i miał chęć dać.

Między innymi wyszła także z piosenką Zosia, która nie omieszkła na oczepiny do brata przylecieć, choć w domu działa się to samo. Podobała się śpiewka dziewczyny wszystkim ogólnie, aż dziwować się jeli nad umiejętnością małej, a Marysia ucałowała ją serdecznie w oba policzki, Walkowa zaś poczęstowała kieliszkiem wina.

Potem poszły przyspiewki druhow i druhen – szydlive lub przymilne, jakie ino kto chciał:

*Hej! Myślałaś Marysiu, że twój Janek bogoc,
pełno góra trypów, jak pódzies, to zoboc;*

albo:

*Siwy gołumbecek na stodole grucha,
nie stracił Jasiu, bo ładno dziewucha;*

a w końcu takie sobie, wesole, a swawolne:

*Oj, ta dana, przez pole śła,
na ramieniu kiecke niesta.
Komu chciała, temu dała,
bo nie swoju kiecke miała.*

Družbowie przyspiewywali druhnom, druheny odcinały się coraz bardziej, družbowie znów ze swej strony odpowiadali coraz dosadniej, a nawet wręcz nieprzyzwoicie:

*U Goryczka w sieni stoi groch z przetakiem,
Brzezińskie dziewczuchy to chodzu rozkrakiem.*

Dobierali nieraz takich słów i wyrażeń, aż starsi ze względu na młodsze dzieci uwagę zwracać im musieli i hamować, nikt przecie nie gniewał się o to, bo przy weselu można wszystko wyśpiewać, co ino leży na sercu.

Muzykanci zaś, siedzący w rogu izby, musieli melodii piosenek owych wtórować na skrzypcach.

Nareszcie niektórym, mniej cierpliwym dość stało się tych śpiewań i rwać się poczęli do tańca. Wyniesiono czym prędzej stół z chałupy, Janek z Maryską poszli do komory rachować zebrane pieniądze, muzykanci zagrali melodię taneczną.

KAZIMIERZ NIEDZIELA

SPACERKIEM PRZEZ PARK W WIELGIEM

No uroczystości 80-lecia szkoły w Wielgiem poszliśmy na spacer do parku z panem Jerzym Karczewskim, Henrykiem Pomorskim i Krzysztofem Siwcem. Park widać już od bramy szkolnej. Skręciliśmy w łąziską drogę. Z niej ścieżką przez plac wiejski między nowym budynkiem remizy OSP, a garażami byłego kółka rolniczego dochodzimy do parku.

Przed nami ściana zieleni i żółte szyszki dzikiego chmielu. Wchodząc do parku przechodzimy pod konarami potężnego jesionu. Winien być zaliczony do zabytków przyrody. Obok jesionu leży spróchniały pień starej wierzy. Za nimi niewielki laszek wysmukłej leszczyny. Góruje nad nią potężna osika. Jej listeczki drżą dzień i noc, nawet jak nie ma wiatru. Za leszczyną podmokły teren zwany Pasternikiem. W drzewostanie dominuje olcha i czerecha. Na Pasterniku w minionych czasach dożywały swojej starości schorowane konie i krowy. Skręcamy na niewielki wzgórek. Wyłania się cudowna, stara aleja kasztanowa. Między Pasternikiem, a aleją kasztanową była aleja obsadzona włoskimi orzechami. Spacerowali po niej Karczewscy, Dygasiński i Malczewski.

Pan Jerzy mówi z uśmiechem:

– Ile tu było kwiatów, jakie piękne klomby. Obecnie na wiosnę tylko ogrom stokrotek.

Dochodzimy do alei kasztanowej. Po lewej stronie widoczne dwa drzewa dereni. Mają podłużne czerwone owoce, w kształcie podobne do kapsułek antybiotyków. Doskonałe na nalewki. Mijamy 600-letni dąb, pomnik przyrody. Widać piwnicę. Henio, który jest kolegą pana Jerzego z lat dzieciństwa mówi:

– Jurek pamiętasz, jak twoja matka trzymała w tej piwnicy śliwki w spirytusie, a my wyciągaliśmy je przy pomocy drutu.

Pan Jerzy uśmiechnął się:

– Heniu, a pamiętasz jak celowaliśmy do służącego ryżem przez rurkę by go trafić w ucho?

Dochodzimy do miejsca, gdzie stał dwór. Miał kształt litery L. Był murowany, na biało bielony. Pan Jerzy spogląda w górę na konary 300-letniego dębu. Wisi na nim wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej.

Patrząc ciągle w górę pan Jerzy mówi:



Suszarnia chmielu, fot. Marlena Giemza

– Ile godzin przesiedziało się na tych konarach. Z nich schodziło się na gontowy dach dworu. Wejście było od południa, salon, dwa pokoje, gabinet rodziców, pokój sypialny, dziecinny, mały ganecek, kuchnia i zewnętrzny, zadaszony korytarz.

Pan Jerzy przenosi wzrok w miejsce, gdzie widnieje zarys klombu.

Mówi dalej:

– W miejscu, gdzie widnieje zarys klombu była oficyna. Zmarła w niej matka Jacka Malczewskiego. Spoczywa na cmentarzu w Wielgiem, na wprost prezbiterium. Niestety miejsce to nie jest upamiętnione.

Następnie zaczyna opowiadać o historii rodziny Karczewskich:

– Nasza rodzina wielce zasłużona dla Rzeczypospolitej. Spokrewniona z rodziną Żałuskich. Biblioteka Żałuskich dała początek Bibliotece Narodowej. Z tej rodziny wywodzili się słynni biskupi. Florian Karczewski był dowódcą oddziału powstańczego podczas powstania listopadowego. Groziła nam konfiskata majątku. Brat ojca, Marian Karczewski, zginął w Starobielsku, a brat matki, Łuniawski, w Kozielsku.

Idziemy dalej. Mijamy budynek ptaszarni. Pan Jerzy patrzy na miejsce, gdzie była kuźnia i z nutką nostalgii w głosie mówi:

– Ile ja godzin spędziłem w kuźni. Jeszcze dziś z powodzeniem mógłbym uprawiać kowalstwo.

Przechodzimy na podwórkę. Stajnie, spichlerz z ciężkimi drzwiami, w masywnych okuciach. Na środku podwórka dorodna, o wielkiej koronie grusza. Pan Jerzy mówi:

– Pod tą gruszą, pod daszkiem była sygnaturka. O godzinie dwunastej jej dźwięk oznajmiał przerwę obiadową.

Spoglądamy w kierunku południowo-zachodnim. Wspaniały widok na stawy rozciągające się między wioskami Obórki, Łaziska, Bąkowa i Kosów. Pan Jerzy mówi:

– Stawy przed Borowcem budował mój dziadek, te które widzimy mój ojciec.

Wracamy. Lekko w dół. Po lewej stronie dorodny dąb, trzeci w kompleksie parkowym. Przechodzimy przez mostek na rzece Kosówce. Ponownie mijamy budynek ptaszarni. Dochodzimy do miejsca, gdzie był wjazd do dworu. Pan Jerzy mówi:

– Przez Kosówkę był mostek, obok dwa murki, gazon, trawniki.

Wracamy w kierunku szkoły. Mijamy miejsce, gdzie był młyn, suszarnia chmielu, czworaki dworskie i karczma. Przechodzimy obok kościoła. Pan Jerzy patrzy w prawo, w kierunku parku. Mówi:

– Moja matka przed wojną wprowadzała uprawę pomidorów.

Henio patrzy w lewo i mówi:

– Nie ma starej, drewnianej organistówki, w której spędziło się dzieciństwo. Miała ganek, a przy nim rosły dorodne akacje.

Pan Jerzy zatrzymuje się u zaprzyjaźnionej rodziny Józefa Góraj. Henio, Krzysztof i ja wracamy do budynku szkolnego.



*Zabytkowy pomnik Eustachego Wielogłowskiego na cmentarzu w Wielgiem,
fot. Marlena Giełma*

MONIKA KRZEŚNIAK

O DIABŁACH I DUSZACH POKUTUJĄCYCH

Często zdarzało się tej zimy, że w długie wieczory przy darciu pierza w chacie Jaroszków zbierały się sąsiadki gospodynie i panny. Każdy miał wtedy co robić. Siadali wszyscy w głównej dużej izbie, bo po obrządku do ciepłej chałupy wracał też gospodarz z parobkiem. Przy tej spokojnej robocie często rozbrzmiewały pieśni oraz opowiadano sobie różne historie.

Tego dnia głośno było na wsi o tym, że Maryśka sołtysowa jak poszła po wodę do studni to się przy cembrowinie pośliznęła i byłaby całkiem do studni wpadła, jakby jej parobczak w ostatniej chwili za zapaskę nasobną nie ucapił.

Gospodyni na te nowiny pokiwała głową i jąła opowiadać.

– Było to w moi wsi ze dwadzieścia pięć років nazad. Pamintóm co Jakubikowo miała córke, ładnu taku, że wszystkie chłopoki się za niu oglóndały. Óna o tym wiedziała. A nade wszystko lubiła się sobie przyglóndać i gdzie tylko mogła szukała swojego odbicia, od lustra matka ją często odganiała. To szła na wieś do bogatszych gospodarzy i czasami do dworu w oknach się przeglądać, a to do strumienia na końcu wsi, nawet do studni zaglądała, żeby dojrzeć soje gładkie liczko. Matka ręce załamywała i mówiła „Dziewczyno nie zaglądaj do studni, tak głęboko bo tam topielec siedzi i na takie młode panny łasy jest”, ale dziewczyna nikogo słuchać nie chciała. I stało się tak, jak z Maryską Sołtysową, tylko, że tamty nikt nie uratował. Ludzie godali, że to topielec ju zabroł.

Zebrani, na te opowieść przeżegnali się, żeby złe odegnać.

– Tak, złego nie brakuje. – rzekł gospodarz – Pamiętosz matka, jak ja do ciebie chodził. Której niedzieli zasiedziołem się u ciebie, a najkrótszo droga przez las. Idę, ciemo, że oko wykoł, a tu nagle za chmur księżyc wychynuł, patrze a tu na drodze koń, piękny i czorny jak ta noc. Popatrzyłem mu w oczy i wyciągnąłem rekę, żeby złapać za uzdę. Już, już miałem ju w ręce a koń, odskoczył do tyłu parę kroczków. To jo powolutku za zanim i nic tylko w te ślepie patrzyłem i znowu już go za uzdę łapię, a ten znowu ucieko i tak z pół godziny. Wtem księżyc się schowoł zza chmury i taki wiatr zimy zawioł dokoła mnie, jakby to nie lato a zima była. Dreszcze mnie przeszył, rozejrzałem się dookoła a jo już po kolana w bagnie stoję. Poderwałem głowę, aby spojrzeć a kónia ni ma.

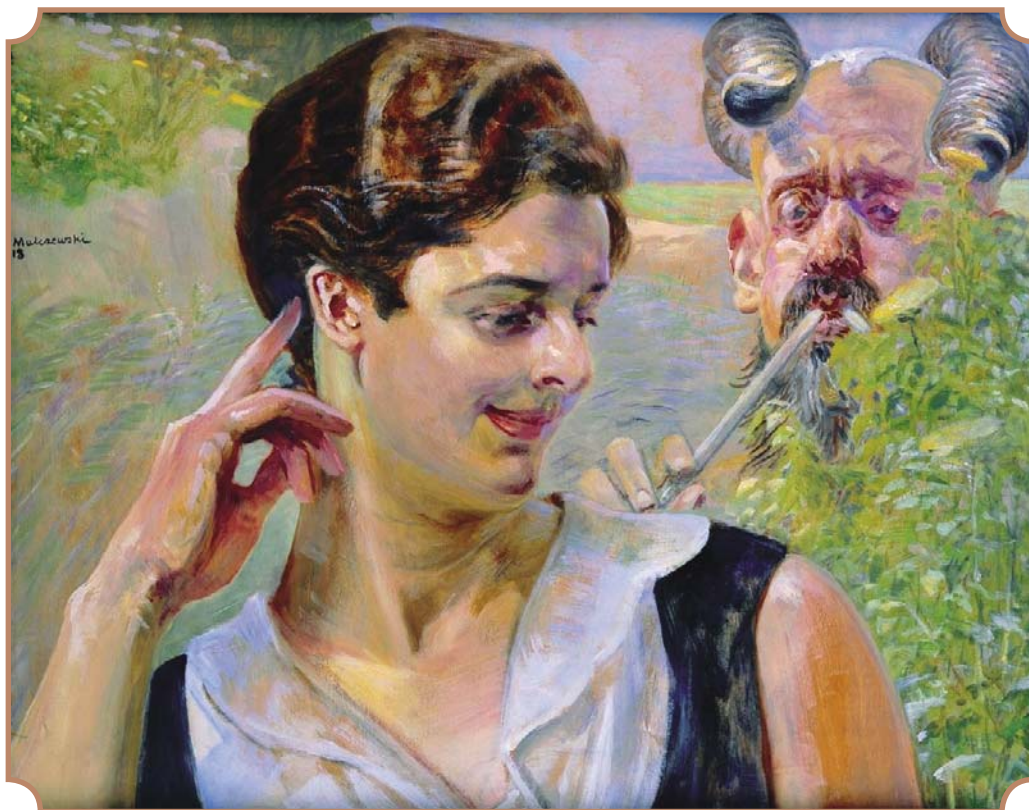
Staro Makuchowo podnieśli ręce i poczęli szybko gadać:

– Tak, tak to pewno diabeł był co cię do śmierci prowadził.

– A gdzie to było? – zapytał mały Jasio wyłazając z pod stołu.

– Z Drożdżowa do Mierziańczki szedłem, a to w Baryczy przy mokradłach było – mruknął gospodarz, jakby już nie chciał o tym mówić dalej.

Przez krótką chwilę cisza zapanowała w izbie, ale zaraz stara Makuchowa podjęła dalej.



Kobieta z faunem, autor: Jacek Malczewski

– A i jo, złego widziałam. Leciałam nocum do Janowy na drugu wieś po coś na górónczke, bo moja najmłodszo była choro. Patrę a tu na drodze stoi czarne wielkie psisko, jak ja w jednu stronę chce go ominąć to i to, jo w drugu ón za mnóm. Mówie wóm nie wiedziałam co poczońć. Wzienam różaniec w rękę i zamknęłam oczy i idę prosto na bydle. Psisko skoczyło między krzoki i takie straszne wycie się tam rozległo, że tak zaczynam uciekać, że dopiero u Janowy jak mi dała jakiegoś naparu to mi mowę wróciło. Óna powiedzieli, że tam pewnikiem jakoś pokutujónco dusza na modlitwe czekała.

Wszyscy słuchali z uwagą o tych opowieści, a w końcu najstarsza Gregorczykowo zaczęła.

– Moja święty pamięci babka opowiadali, jak to na zabawie w karczmie jednego wieczora, nie wiadomo skónd ładny taki chłopok się znalazł. Wszystkie panny tańcować z nim chciały, a on rażno wywijoł oberki i polki. Kiedy tak tańcował nagle spod jego nogawki wyloz ogón. Zauważyły to kobity co na zydlach pod ścianami siedziały, narobiły krzyku. Kawalir przez drzwi skoczył i tyle go widzieli. Tak to diabeł z pannami w karczmie tańcował.

Gospodyni przestraszyła się, że te opowieści o duchach i diabłach w końcu do domu, jakie złe przyciągną i nakazała zakończyć te bajania i nabożną pieśń zaśpiewać, aby kogo w drodze do domu co złego nie spotkało.

MONIKA KRZEŚNIAK

WIGILIA I BOŻE NARODZENIE

Na podstawie wspomnień Eleonory Jaroszek z Grabowa nad Wisłą

Do Wigilii i Bożego Narodzenia na wsi ludzie szykowali się przez cały okres Adwentu, nie tylko poprzez post, kiedy to w środy, piątki i soboty spożywano wyłącznie chleb z olejem, barszcz z czerwonych buraków również na oleju oraz śledzie, jeśli do wsi zawiązał Żyd handlujący rybami, sacharyną i zapalkami. W pozostałe dni podczas Adwentu, czyli niedziele, poniedziałki, wtorki i czwartki spożywano potrawy na mleku, kluski, kasze, kartofle, czy białe sery świeże oraz suszone (białe sery mocno wyciśnięte i posolone suszono na strychu). Kielbasę na świąteczny stół przygotowywano z krojonego na drobne kawałki mięsa (nie było maszynek do mięsa) i wędziło się wysoko zawieszając na drążku w kominie chałupy.

Ściany izby w chałupie na święta stroiło się jedliną, kwiatami i pajakami z papieru. Nie było w domach choinek. Do domu przynoszono i stawiano w rogu wiązkę słomy, która



Na pasterkę, autor: Kazimierz Ślubiak

po Wigilii służyła uczestnikom do wróżb, a dzieciom i młodzieży do zabawy oraz snopek zboża mający zapewnić urodzaj na przyszły rok.

Stół nakrywano białym lnianym obrusem, pod który kładziono siano, pod sianem umieszczano kromkę chleba, nóż i opłatek, aby zbłąkane i zgłodniałe dusze mogły sobie ukroić chleba. Jeżeli nóż pozostawiony pod obrusem pokrył się do rana rdzą, znaczyło to, że w domu będzie smutek. Rano siano, opłatek oraz chleb dawano zwierzętom.

Na stole wigilijnym musiało znaleźć się dwanaście potraw, jak dwanaście miesięcy w roku i dwunastu apostołów. Przygotowywano kluski z makiem, barszczyk z kiszoną kapustą i grzybami, zawijoki z kiszonej kapusty i kaszy jaglanej, barszcz czerwony, kompot z jabłek suszonych, pierogi nadziewane były jabłkami, gruszkami ulęgalkami, kaszą gryczaną z kapustą kiszoną i grzybami oraz konopiami. Pierogi z konopi robiło się z nasion konopnych, które zbierało się z „macior” (grubych krzaków konopi, które wybiły się w nasiona. Posłonki, czyli drobne krzaki konopi, międlilo się i robiło się z nich pęta dla krów i powrozy dla koni). Zebrane nasiona ucierało się w skopku, aż puściło białe mleczko. Powstałą masę owarzało się na ogniu na „serzenie”, które doprawiało się solą. Pierogi piekło się w piecu lub na patelni.

Po przygotowaniu stołu z pierwszą gwiazdą siadano do stołu, najstarszy w domu rozpoczynał pacierz oraz dzielił domowników opłatkiem. Po życzeniach zasiadano do stołu i spożywano „pośnik”.

Po wieczerzy nastawał czas wróżb i zabaw. Garście słomy rzucano się w górę, im więcej kłosów zaczepiło się za belkę, tym większy urodzaj zapowiadał się na przyszły rok. Młode dziewczyny liczyły polana przyniesione do pieca, jeśli wypadło do pary znaczyło to, że w najbliższym czasie dziewczyna wyjdzie za mąż. Biesiadnicy siedzący przy stole, spod obrusa ciągnęli żdźbła siana. Jeśli wyciągnięto żdźbło proste i długie, to osobę, która je wyciągnęła, czekało długie i dobre życie, bez niebezpieczeństw. Jeśli sianko było pokrzywione, to daną osobę czekało życie kręte. Bawiono się na słomie – przewracano się wzajemnie, wiązano, wyprawiano rozmaite harce, aż do czasu wyjścia na pasterkę. Słoma leżała na podłodze przez cały dzień Bożego Narodzenia i dzieci się bawiły w tym barłogu, na pamiątkę tego, że mały Jezus narodził się w stajni.

Dzień Bożego Narodzenia każdy starał się spędzić w domu, unikano wizyt pozarodzinnych. Nie należało spać w dzień, żeby zboże nie zaległo na polach. Nie wykonywano żadnych prac.

NATALIA PRZEPIÓRKA

JUDASZOWE SREBRNIKI

Jak opowiadają starsi mieszkańcy Grabowa, a im opowiadali ich przodkowie, to przydrożna dziedzicowa gospoda zapadła się pod ziemię. Musiały się tam dziać ciężkie bezceństwa i wielkie zdrożności. Jedno z nich zostało nawet zapisane w książce historycznej, „Powstanie styczniowe w Puszczy Kozienickiej” Witolda Dąbkowskiego, W-wa 1974, PWN str. 384

Stało się to w listopadzie 1863 roku. W okolicznych lasach ukrywali się powstańcy, którzy byli tropieni przez carskie oddziały kozaków. Nie mogli oni liczyć na pomoc chłopów, gdyż władze rosyjskie zakazały pomagać partyzantom pod groźbą kary śmierci lub zsyłki na Sybir. Mało tego, obiecywali nagrodę pieniężną temu, kto powstańca żywego wyda w ręce żandarmów w Zwoleniu. O zgrozo, znaleźli się tacy zdrajcy, którzy połamili się na „judaszowe srebrniki”.

Z jakich powodów to zrobił Andrzej Rogala, nie wiadomo. Może chciał wyciągnąć z biedy swoją rodzinę, może miał chorą żonę, może chciał dług oddać w karczmie za wypite kwatunki gorzałki. W każdym bądź razie, gdy znalazł w lesie rozbitka z oddziału pułkownika Dionizego Czachowskiego, obezwładnił go i oddał do cyrkułu w Zwoleniu. Wycieńczony, ranny powstaniec już samym widokiem budził żal i litość. Prosił chłopą:

– Puść mnie! Nie jesteś Polakiem? Chciałbym zobaczyć swoją starą matkę i braci, których zostawiłem trzynaście miesięcy temu i nie mam o nich wieści. Przecież walczyłem o wolność wszystkich Polaków i o twoją też!

– Moja wolność będzie, jak za ciebie ruble wezmę i od naszego pana dziedzica mórg se dokupię.

– Nie pójdą ci na zdrowie nieuczciwie zarobione pieniądze.

– Zamilc panicyku, Wase powstanie to nie moja sprawa. Posiedzis se w kreminale to zobocys, jak dobrze, gdy ktoś nad tobu z batym stoi.

Niedługo cieszył się chłop zarobionymi rublami. Gdy wracał drogą przez Manusin, liczył rzucone jak psu ruble i naliczył dwadzieścia.

– Co za to będzie? – myślał głośno pytając samego siebie, opuszczając koniowi wodze, jechał powoli.

– Ani morgi nie będzie, ani krowy nie będzie, no może koza albo dwie owiecki.

Gdy przejeżdżał koło przydrożnego krzyża, stojącego naprzeciw zieleńskich pól, przeżegnał się szeroko, po chłopsku. Spojrzał na metalową zardzewiałą figurkę Chrystusa i zdało mu się, że Pan Jezus ma taki sam grymas bólu i prośby, jak tamten powstaniec więziony na jego wozie do cyrkułu w Zwoleniu. Wtedy spojrzał na niebo i zobaczył spadającą gwiazdę.

– Ocho, ktoś się do świntego Pietra wybiro na nowe pomieskanie. I wtedy coś go pierwszy raz tknęło: – A jeśli to będę jo? Może niepotrzebnie wydołem tego młodzioka Ruskim.

Jednak, gdy dojeżdżał do dworu, już nie o strachu i odpowiedzialności na Boskim sądzie myślał.

Dwór w mroku wysokich drzew wyglądał na opuszczony. Dziedzica Reyskiego już nie było pół roku w domu. Podobno ukrywał się w Sandomierzu, tropiły go władze carskie, bo pomocy buntowoszczykom udzielał. Trudne czasy przyszły na panów dziedziców. Car za popieranie powstania będzie chciał wycisnąć z ich majątków ostatnią kopiejkę.

– Ale ekónóm i karbowy ostali. Oni num nie sfolguju – myślał smutno chłop. Dojechał do karczmy na rozstaju dróg i zatrzymał konia. Koń już wyczuł chrapami stojącą niedaleko swoją stajnię i nierad się zatrzymał przed rozświetlonymi napółotwartymi drzwiami, z których buchała para jak z gotującego się sagana.

Kilku chłopów stało przy zalanym szynkwasie, niezbyt przytomnie patrzyli na wchodzącego Rogalę. Za to karczmarz Szmul zaraz wyskoczył zza lady i upomniał się o swoje:

– Nu, chłopie, tyś dług przyniósł?

– Co bym ni miał przynieść. Mos Zydzie swoje pinióndze – rzucił mu na ladę dwurubłówkę. Brzęk monety jakby oprzytomnił nieco pijanych chłopów, bo jeden z nich, Michał Gałka krzyknął.

– Chybaś partyzanta naloż, ze pinindze rozdajes. Postaw po kwaterce.

– Mogę wóm postawić – i rzucił rubla na brudny szynkwas. Wtedy znów go coś tknęło. Jakiś wewnętrzny chichot podpowiedział: „Diabelskie pieniądze na diabelski pożytek”. Usiadł ciężko przy dębowym stole i pił powoli podany półkwaterek. Żyd zobaczywszy u chłopą niemały grosz, zaczął biegać usłudźnie koło fundatora. Przyniósł śledzie z beczki i kwaszone ogórki i nawet biały chleb. Chłopi zasiedli do uczty, a Żyd zachwalał nową okowitę, którą przywiózł od braci „z miasta Kazanów”. Od kwaterki doszło do czterech i pieniądze szybko znikwały w chałacie pazernego Szmula. Nim się Rogala spostrzegł, w kieszeni zostało mu kilka rubli, a głowa ciążyła jak ołowiana kula.

W tym czasie do stryjecznego brata, Krzysztofa Rogali, przyjechał pod osłoną nocy mały oddział powstańczy pod dowództwem Malinowskiego. W imieniu Narodowego Rządu Polskiego mieli wykonać wyrok na zdrajcy Andrzej. Krzysztof jako sołtys miał obowiązek zaprowadzić pięciu powstańców do domu kuzyna. Gdy przyszli na miejsce, żona Franciszka ze strachem w oczach otworzyła drzwi.

– Gdzie Indrek – pyta bratową Krzysztof.

– Nie wim. Jak posed w południe do lasu, tak i jesce nie przysed. Prowda Maryśka – zwróciła się do starszej córki, która dopiero na zawołanie matki wychyliła się nieśmiało z kąta izby. Dziewczynka nic nie powiedziała, tylko lekko skinęła głową.

– Moze posed do Feliksa, bo tamtyn miał młócić ostatek owsa, to może chcioł mu pomóc w biciu cypami, a ze blisko karcmy, to na pewno gorzołki się spodziwoł.

– To i pójdźmy za nim. Mówił to niby do wystraszonej kobiety, a właściwie to do powstańców stojących w sieni. Teraz i Andrzejowa spostrzegła nieogolone zmizerowane twarze, które nie wróżyły nie dobrego. Oczy jednego patrzyły groźnie, ale widać w nich było współczucie jakieś, taki przejmujący smutek. Po cichu szli drogą wzdłuż chat, w których z powodu późnej pory nie było widać żadnych świateł. Wieś już właściwie spała. Jeszcze gdzieś zaryczała w oborze krowa, szczeknął pies lub zamiauczał wystraszony krokami idących kot. Gospodarze byli uznojeni jesienną pracą w polu czy na warzywniku, zasypiali zatem szybko i mocno.

Gdy dochodzili do Feliksa, usłyszeli niby to śpiew niby jęk jakiś. Pod topolą stał wóz z koniem, obok wozu prosto na wilgotnej ziemi siedział chłop i zawodził z cicha.

*Ach, moje rubelki
gdzieście się podziały,
w ty graboski karcemie
z gorzółku zostały.*

Teraz dopiero Krzysztof poznał stryjecznego brata: – Coś ty znów pijoku przeszkroboł, że cię panowie sukaju?

– Jo nic, ani nic... – nie mógł mówić dalej, bo powstańcy chwycili go za ubłoconą kapotę i szybko prawie wnieśli do oświetlonej izby karczemnej. Z początku nic w niej nie widzieli, dopiero jak ich wzrok przywyknął do nikłego światła z okopconej lampy naftowej, zobaczyli w kącie trzech nie ogolonych chłopów. Tamci, gdy zobaczyli panicza, zdjęli czapki z głów, a ten od razu przystąpił do rzeczy:

– Jeden z waszych chamskich synów połąszczył się na ruskie ruble, wydał naszego towarzysza, rannego powstańca, kozakom w zwoleńskim cyrkule. Nie wiecie, kto to mógł być?

– Ni, a kto by tam partyzantów sukoł – odezwał się siedzący z brzegu chłop.

– To był ranny Burdzicki, który wracał w swoje strony spod Jawora, tam straszna bitwa była. Musiał tu gdzieś lasami klucząc trafić do wsi.

– Nie było tu nikogo – odezwał się młodszy od tamtego, już na dobre oprzytomniały chłop.

– I to ón na pewno w Zwoleniu sukoł pomocy u medyka, jak ón ranny był – wtrącił sołtys.

– W Zwoleniu to on już jest, w cyrkule. Byliśmy tam u znajomego i nam powiedział, że Kozacy prowadzili do kozy skatowanego, ledwie dyszącego, młodego Jana Burdzickiego. Tak był skatowany, że ledwie poznawali w nim syna dziedzica z Przylęka.

Kozacy szczególnie długo wlekli go przez rynek, żeby wszyscy się przypatrzyli, co ich czeka za bunt wobec prawowitej władzy batiuszki-cara.

Powstańcy widzą, że nic nie wyciągną z pijanych chłopów, nacisnęli krakuski mocniej na uszy i wyszli z zadymionej, przesiąkniętej smrodem gorzałki i chłopskiego potu izby. Siedli na konie i pojechali drogą w stronę Babina. Już było dobrze ciemno. Sołtys teraz dopiero przypomniał sobie siedzącego pod wozem krewniaka Jędrzeja. Wyszedł z karczmy i zagadnął do półprzytomnego:

– Cego tu siedzisz pod wozym, cego nie jedzies do domu?

– Bracie, chodzi do gospody, to jesce się napijem.

– Ni móm pinindy.

– Nie mortw się, jesce mi zostało judasowych srebrników.

– Co ty mówis? Jakich judasowych srebrników?

– Bom dziś niewinnego człowieka wydoł, którego uny, partyzanty, sukały.

– Cy to prawda?

– A no tak, jo go naloz chyrlawego w lesie, na Kaliskach. Ledwo dysoł, przeciez takich wójt kozoł do cyrkułu wozić, miołem akurat wóz to zawiózem.

– Coś ty narobił, teroz partyzanty nóm zyc nie dadzu. Ile wzióneś?

– Dwadzieścia rubli.

– Toś ty Judas, naprowdy Judas! Tyś go sprzedał, jak tamtyn zdrajca Jezusa. Myślis, że ci te pinindze pójdu na korzyść. Coś ty najlepszego zrobił!

– Już mi posły na gorzołkę i Żyd se wziął borg.

– Coś ty narobił! Coś ty narobił – rzucił się z pięściami na Jędrzeja. Ten nawet się nie bronił, tylko głowę chował. Na ten krzyk wyskoczyli tamci trzej z karczmy. Kiedy zobaczyli bitego, zaczęli go okładać pięściami i kopać zawzięcie, bo myśleli, że to on pierwszy rzucił się na sołtysa. Wyjrzał przerażony Szmul, krzyczał, że jak nie przestaną się bić, to zawoła stójkowego. Przestraszyli się, bo ze stójkowym Wróblem żartów nie ma, rzucili się do ucieczki, nie patrząc, co się stanie z pobitym fundatorem ich niedawnej uczty. Krzysztof wziął stryjecznego brata na wóz i zajechał na jego podwórze. Jędrzejową tknęło niedobre przeczucie, gdy usłyszała turkot żelaznych kół, wybiegła przed sień i zobaczywszy pijanego męża krzyknęła:

– A niech zdycho na zimnie, pijok zatracony.

Weszła do izby uspokojona, że mąż wrócił, myślała, że pijany chłop usnął na wozie, to go nie budziła. Krzysztof tymczasem wyprzągł konia, zaprowadził do stajni, o pijanego, obitego krewniaka się nie zatroszczył. Zresztą jeszcze dotąd złość w nim kipiała: – „Taki judos jeden”!

No i spełniło się życzenie Jędrzejowej. Kiedy rano wyszła do obrządku, ujrzała na wozie zimnego trupa. Pisk, krzyk, przekleństwa, płacz – nic nie pomogły. Tymczasem ktoś doniósł do cyrkułu, co się stało w karczmie w Grabowie. Kozacy rozmawiali że Sznulem o wczorajszym samosądzie. Żyd tylko udawał, że nic nie widział i nie słyszał. Teraz wszystko dokładnie opowiedział o wizycie nocnych gości kozackiemu esaulowi. Zaraz po przesłuchaniu poszli we trzech do zagrody Krzysztofa Rogali. No żeby sołtys takich rzeczy się dopuścił, nie mieściło się im to w ich zakutych kacapskich głowach. Zakuli go w kajdany i powlekli na sznurze przytroczonym do siodła, zwoleńskim gościńcem.

Dwadzieścia lat nie widzieli sołtysa Krzysztofa w Grabowie. Gdy wrócił z Sybiru, wyglądał jak osiemdziesięcioletni łysy dziad z brodą, bez nawet jednego zęba w zdziczałej gębie. Ale honor Grabowa obronił. Jeden Rogala zdradził, a drugi Rogala honor Grabowa uratował.

A karczma podobno zapadła się pod ziemię. Po latach niektórzy mówili, że baron Reyski kazał pod osłoną nocy budynek – niemy świadek niechlubnych wydarzeń – rozebrać, żeby nie było śladu po nim. Żyd Szmul wyniósł się do braci do Kazanowa i potem był arendarzem karczmy w Rawicy, gdzie majątek miał carski generał z Radomia.

Na miejscu karczmy, przy skrzyżowaniu dróg, rzeczywiście jest taki wądół, w którym zbiera się ciągle woda. Może rzeczywiście „karczma świadek zbrodni i kary” zapadła się pod ziemię, a czarci w niej do dziś harce wyprawiają.

TADEUSZ KONARSKI

OBRAZKI Z DZIECIŃSTWA

Okresie okupacji niemieckiej mieszkałem we wsi Ostrówka gmina Kazań. Moja rodzina składała się z 7 osób: rodzice i pięcioro rodzeństwa. Ja byłem średniakiem. Mieszkaliśmy w domu drewnianym, dwuizbowym. Tuż przed wybuchem wojny w 1939 r. mój ojciec czynił przygotowania do budowy nowego domu. Już w okresie okupacji rozpoczął jego budowę, przy współudziale miejscowych cieśli. Dokładnie nie pamiętam, wydaje mi się, że w drugiej połowie 1943 r. w naszej wsi zakwaterował oddział niemieckiego wojska. Niektóre rodziny były przesiedlane, najczęściej do sąsiadów, robiąc miejsce dla żołnierzy. W naszym mieszkaniu, jedną izbę zajął żołnierz – lekarz, w drugiej izbie mieszkało nas siedmioro oraz dokwaterowane bezdzietne małżeństwo Kozłów. W sumie w niewielkim pokoju mieszkało 9 osób.

Kozłowie, biedni ludzie, mieszkali pod lasem. Na początku okupacji, Niemcy podpalił za karę dom ich sąsiada, a przy tym spłonęło mieszkanie Kozłów. Ojciec pozwolił im, aby na naszym placu, po drugiej stronie drogi pobudowali sobie małą chatkę. Ten mały domek upodobał sobie niemiecki fryzjer, który w nim zamieszkał i w którym prowadził usługi fryzjerskie dla niemieckich żołnierzy.

Sąsiedzi Kozłowie, spali na podłodze, na słomie, którą przynosił ojciec na noc i rano wynosił. Mieszkanie nasze w budowie, nie było jeszcze wykończone. Niemcy go jednak wykorzystywali w ten sposób, że w większej izbie urządzili łaźnię, zaś w mniejszej warsztat ślusarski.

W warsztacie pracował Chorst tak się określił, nie wiem czy z imienia, czy z nazwiska. Chorst mieszkał u sąsiada Jeżaka wraz z właścicielem motocykla z koszem. Kierowca motocykla, był zawsze posępny, zamyślony, mówiliśmy o nim po prostu „Smutny”. Chorst był również kierowcą samochodu ciężarowego. Garaż na ten samochód znajdował się obok zabudowań w sadzie. Zbudowany był w ten sposób, że zrobiony był wykop w ziemi do wysokości gdzieś połowy samochodu, boki i dach były z rurek i prętów, całość nakryta była maskującą plandeką.

Drugim sąsiadem był, Gogacz. Na jego podwórku Niemcy zbudowali bunkier, który jak twierdzili na wypadek zagrożenia, miał być stanowiskiem dowodzenia. W bunkrze znajdowała się radiostacja. Na tym podwórku Gogacza odbywały się zbiórki, ćwiczenia oraz codienne apele. Przez cały niemal okres okupacji utrapieniem były częste najazdy, podczas których zabierano krowy i trzodę chlewną.

Zapamiętałem trzy takie przypadki ukrywania krów przed konfiskatą. W pierwszym, ja wraz ze starszym bratem – Mietkiem na wieść, że do wsi zbliżają się Niemcy, chwyciliśmy dwie krowy na postronki i co sił pobiegliśmy z nimi za stodołę w pole, gdzie teren jest po-

fałdowany. W najniższym zagłębieniu ukryliśmy krowy. W to samo miejsce przybyli chłopcy sąsiadów, również z krowami. Jeden ze starszych kolegów wszedł na rosnące w pobliżu drzewo i obserwował poruszenie się we wsi żołnierzy. Kiedy Niemcy odjechali ze wsi wszyscy wracaliśmy do swoich domów.

W czasie kiedy stacjonowali niemieccy żołnierze we wsi, konfiskatę krów dokonywali „Kałmuki”. Tak mówiono na obcokrajowców służących w armii czy policji niemieckiej.

W jednym z kolejnych najazdów Chorst pozwolił aby krowę wprowadzić do „jego” garażu. Wszedł tam z krową, brat Mietek i przez parę godzin przestał cały przerażony i zmarznięty.

Najbardziej w pamięci utkwiała mi ostatnia akcja ratowania dobytku. Niemcy we wsi pojawili się niespodziewanie. Nie było czasu na ucieczkę. Najbardziej zmartwiona była matka. Utrata ostatniej krowy, żywicielki dzieci byłoby tragedią. Chorst widząc miotającą się i przerażoną moją matkę zdecydował krótko – krowa do łązni. Nasza „krasula” jakby czując niebezpieczeństwo, bez oporu pokonała dwa betonowe schodki, ciemną sień i wyładowała w łązni.

Kiedy na podwórzu pojawili się niemieccy żołnierze, wypytując o krowy, stojący na stopniach schodów, wysoki, barczysty Chorst powiedział im tu nie ma krów, są tu małe dzieci i też by chciały mieć mleko. Żołnierze odeszli.

Choć nienawidziłem Niemców, bo zamordowali w dniu 18 marca 1942 roku w Kazanowie mojego stryja Stanisława, to Niemiec Chorst był inny. Chorst kilka razy do swojego samochodu poprosił mnie i inne dzieci i przewoził nas przez wioskę. Dla mnie i innych dzieci w czasie wojny taka podróż była ogromną frajdą.

Oddział, który stacjonował we wsi, rekrutował się głównie z rezerwistów. Większych krzywd, mieszkańcom wioski oni nie wyrządzili, choć stwarzali wiele sytuacji, które mogły być zagrożeniem dla całej wsi i jej mieszkańców. Była godzina policyjna, dlatego wieczorami i nocą nie wolno było się swobodnie poruszać poza własnym gospodarstwem. Ale to się dawało nieraz ominąć. Sąsiad nasz Jan Jeżak w długie jesienno-zimowe wieczory często do nas przychodził na pogawędki, dużo i z humorem opowiadał. Któregoś wieczoru, kiedy Jeżak zjawił się w naszym mieszkaniu, ktoś go zapytał – czy nie boi się wieczorami poruszać, a przechodził zawsze przez sadek, odpowiadał, że nie ma takich obaw. Jeżeli zauważyłby niemiecki patrol, wówczas spuściłby portki i udawał, że ma tu, coś do załatwienia.

Stacjonowanie Niemców w wiosce chociaż było udręką o tyle miało też swój plus, że w tym czasie nie kręcili się nocami rabusie, zwłaszcza złodzieje koni. Niemcy starali się przestrzegać porządku u siebie i tego wymagali też od mieszkańców wsi.

Pewnego dnia Rutkowska poskarżyła się dowódcy – kapitanowi mieszkającemu w jej mieszkaniu (sama z rodziną przesiedlona była do sąsiada Cieślaka), że żołnierz mieszkający w bunkrze podkrada jej z komory pszeną mąkę. W niedługim czasie, któregoś dnia zobaczyliśmy złodziejaską w pełnym rynsztunku, którego „Smutny” powiózł gdzieś motocyklem. Od jednego z tłumaczy, a było ich dwóch – Karol i Roch dowiedzieliśmy się, że żołnierz ten został skierowany karnie na front wschodni.

W przeddzień rozpoczęcia ofensywy armii radzieckiej na Wiśle, u stacjonujących żołnierzy niemieckich dało się zauważyć duże poruszenie. Widać było, że szykują się do wymarszu. Tuż przed zmierzchem Niemcy opuścili wieś. Chorst żegnając się z rodzicami miał do nich powiedzieć „przyjdzie czas, że wam jeszcze pomożemy”. Te słowa rodzice potem często powtarzali. Przy pożegnaniu, Chorst miał łzy w oczach, nie wiadomo jakie towarzyszyły



Okupacja niemiecka na polskiej wsi – wrzesień 1939, fot. arch. Bundeswehry

mu uczucia. Z radości, że wraca do domu, do rodziny, czy też z obawy na los jaki może go jeszcze czekać.

Było jeszcze ciemno, gdy rankiem następnego dnia po wyjeździe Niemców, zbudził nas odgłos nieustannej kanonady ciężkich dział, dochodzący z okolicy Solca i Chotczy. Pod wieczór do wsi wkroczyli Rosjanie. Ich pierwsze słowa to „gdzie Germaniec i skolko kilometrów do Berlina”. Mój dziadek długoletni żołnierz carskiej Rosji, weteran I Wojny Światowej, wyszedł na drogę z dużą paczką (100 sztuk) papierosów, które miał z deputatu za dostarczony kontyngent i poczęstował nimi Rosjan. Pierwszych kilku chwyciło po garści, dla kolejnych zabrakło. Sołdat zażądał więcej ale dziadek odpowiedział, że nie ma. Wówczas żołnierz odwinął rękę i uderzył dziadka bardzo mocno w twarz, aż z nosa połała się krew, tak się skończyło pierwsze powitanie wyzwolicieli. Po niespokojnej nocy, pełnej hałasu, nawoływań i palonych ognisk, rano ojciec zauważył na łące rozwalone ule, stojące uprzednio w sadzie. Rosjanie szukając miodu zniszczyli kilkanaście pszczoelich rodzin. Od tego czasu ojciec już nigdy nie odbudował swojej pasieki.

Takie to obrazy zapamiętałem z okresu niemieckiej okupacji oraz pierwszych dni „wolności”.

TERESA BINIAS

NIEZWYKŁA HISTORIA MAŁEJ WIOSKI

Wioska Ługi, jak podaje „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego” w t. V z 1884 r. powstała w II połowie XIX wieku. Znajduje się w Guberni Radomskiej, w powiecie kozienickim, w gminie Grabów nad Wisłą. Według spisu miejscowości Guberni Radomskiej z 1880 roku, do tej gminy należało 25 wsi: Atalin, Babin, Florianów, Grabów Nowy i Stary, Helenów, Karolin, Kuszlew, Łagów, Łagowska Wola, Maniusin, Michalin, Mieczysławów, Mierziączka, Okrężnica, Przyłęk, Buda, Sycyna, Sydół, Szczęście, Szelażna Wólka, Wygoda, Wylezin.

W gminie tej znajdowały się też dobra ziemskie barona Czesława Rejskiego – obywatela ziemskiego zamieszkałego w Koprzywnicy w powiecie sandomierskim.

Baron Cz. Rejski w 1873 roku sprzedał kolonistom niemieckim grunty należące do folwarku Wylezin – 750 mórg miary nowopolskiej (morga = 56 arów). W wyniku tej transakcji powstają kolonie: Pasieka – 112 mórg, Ługi – 335 mórg, Celestynów – 179 mórg. Akt kupna-sprzedaży został spisany w kancelarii ziemskiej P. Karwackiego w Radomiu, w obecności Juliana Matulewicza – dzierżawcy wsi Grabów n/Wisłą. Baron Rajski zastrzega sobie prawo propinacji w/w dobrach. Natomiast z lasu należącego do w/w dóbr może korzystać J. Matulewicz na obszarze 1 włóki oraz właściciele kolonii Ługi na obszarze 2 włók (1 włóka = 30 mórg). Z dokumentu dowiadujemy się też, że koloniści musieli zapłacić Annie z Gzowskich Mierzejewskiej 6253 rubli srebrnych. Wymienieni też są koloniści, którzy nabywali grunty ziemskie: Michał Kryger, Ertman Elsner, Jan Tyrk, Mateusz Oswald, Gotfrid Ferster, Krzysztof Dalke, Jan Knedel, Krystian Grosman, Leonard Biler, Gotfrid Trelke, Krystian Krentz, Błażej Staniewski, Jan Szymański. Jak wynika z pisowni nazwisk, przeważają Niemcy. Wiąże się to z okresem osadnictwa niemieckiego na ziemiach polskich w II połowie XIX wieku. Ostry kurs germanizacji wprowadzony w czasie rządów Bismarcka doprowadził do utworzenia olbrzymich funduszy, które były przeznaczone w formie kredytów bezzwrotnych dla Niemców chętnych osiedlić się w marchiach wschodnich. W poznańskim, na Śląsku, Pomorzu, gdzie walka o utrzymanie ziemi polskiej była obowiązkiem każdego Polaka, koloniści niemieccy nie mieli większych szans na zakup ziemi. W Królestwie Polskim możliwość zakupu polskiej ziemi była o wiele większa. Właściciele dworów obciążeni dużymi podatkami i innymi opłatami chętnie pozbywali się gruntów, które nie przynosiły dochodów.

Grunty rolne należące do folwarku Wylezin nie były atrakcyjne. Słaba klasa ziemi (V-VI), znaczny obszar podmokły, ciągnący się od gruntów wsi Michalin pasem wzdłuż szosy Zwolen – Puławy aż do rzeczki Plewki w Załazach. Stąd przyjęła się nazwa tego obszaru jako „Ługi”, a następnie Kolonia Ługi. Obszar, zwany „Niedźwiedziem”, tylko starsi mieszkańcy pamiętają to określenie, świadczył długo o niekorzystnym położeniu tej wsi. Obecnie wi-

doczne są tylko dziko rosnące krzewy.

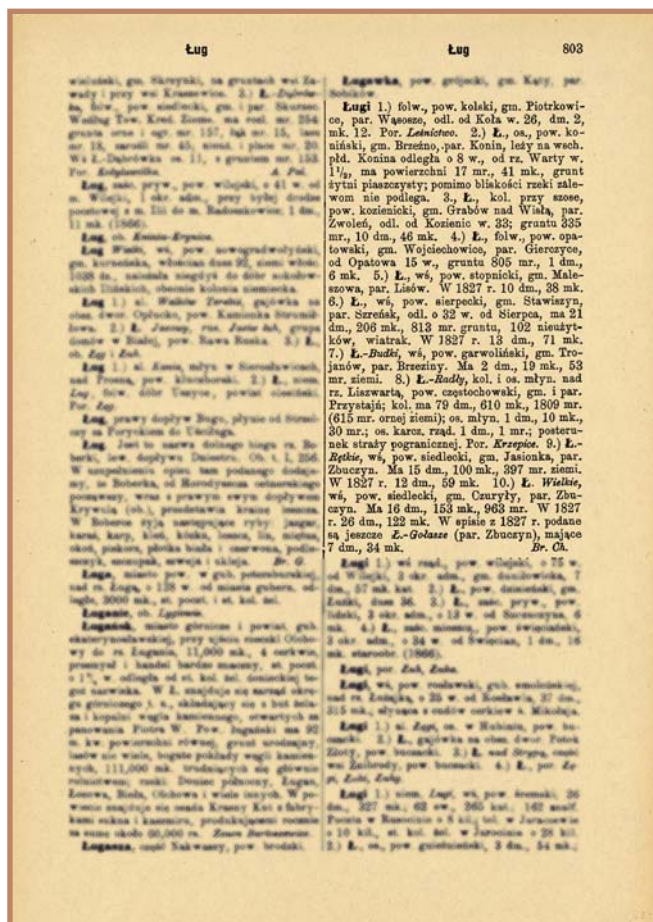
Kolonia Ługi, wg „Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego” (t.V. z 1884 r.) posiada 10 gospodarstw. W spisie ludności Guberni Radomskiej z 1886 r. występuje liczba 54 mieszkańców w tym 26 mężczyzn i 28 kobiet.

Od 1878 r. pojawiają się pierwsze polskie nazwiska w księdze chrztów w parafii Zwolen. Są to: Maryanna Malinowska, Aniela Chołuj, Jan Maciejczyk.

Aż do 1914 r. niewiele polskich nazwisk mamy w księgach chrztów – 3 lub 4 chrzty przypadają na rok. Nie mamy danych na temat urodzin Niemców, ponieważ prowadzili własną ewidencję, do której nie można dotrzeć. Z powyższych danych wynika, że koloniści niemieccy odsprzedawali grunty Polakom, których przybywało każdego roku. Bardziej przedsiębiorcza ludność niemiecka osiedlała się na bogatszych terenach. Przykładem mogą być sąsiednie wsie, jak: Władysławów, Polesie, Pająków zasiedlone w większości przez Niemców, gdzie ludność ta miała zbór, cmentarz, szkołę. Obecnie świątynia ewangelicka w Polesiu przekształcona została w kaplicę katolicką należącą do parafii Łągów. W latach 90 XX wieku w Polesiu na obszarze 2 ha. powstał cmentarz, na którym umieszczono prochy żołnierzy niemieckich zebrane z różnych miejsc z okresu II wojny światowej oraz prochy z pozostałości okolicznych cmentarzy niemieckich istniejących do 1945 r.

Przed wybuchem I wojny światowej, Kolonia Ługi liczyła 10 rodzin polskich. Pojawiają się takie nazwiska rodzin, jak: Makuch, Pawlak, Orlik, Heromiński.

Po I wojnie światowej ubyło niemieckich rodzin, natomiast przybyło kilka rodzin polskich. Według ewidencji księgi chrztów, w okresie międzywojennym zaznacza się większy przyrost naturalny i pojawiają się nowe nazwiska: Molik, Maród, Wrochna, Michalczyk, Stępień, Bienias. Powiększają się polskie gospodarstwa, drogą wykupu od Niemców. Osiedlają się też 3 rodziny żydowskie, które utrzymują się z usług krawieckich, szewskich i handlu.



Słownik geograficzny Królestwa Polskiego
i innych krajów słowiańskich, Tom V

Okres II wojny światowej to stagnacja w rozwoju wsi. Rodziny żydowskie zabrano do getta w Zwoleniu. W rodzinach niemieckich pozostały kobiety, dzieci, starcy, którzy nie utrudniali życia mieszkańcom, ale była duża nieufność i ostrożność we wzajemnych kontaktach. Pod koniec wojny zmuszeni byli do opuszczenia wsi i pozostawienia swoich gospodarstw. Z relacji starszych mieszkańców, którzy utrzymywali z nimi sporadyczny kontakt wynika, że większość z nich zamieszkała w Niemczech Zachodnich. Rok 1944 przynosi wielkie zniszczenia wsi. Ludność zostaje wysiedlona przez Niemców, a budynki rozebrane na bunkry przed ofensywą radziecką. Po przejściu frontu zimą 1945 r. mieszkańcy powoli wracają do swych gniazd, które trzeba odbudowywać od podstaw, wykorzystując bunkry, z których materiał budowlany służył na budowę domów. W wyniku przeprowadzonej reformy rolnej (dekret PKWN z 6 IX 1944 r.), grunty poniemieckie zostały przejęte przez polskie rodziny, co pozwoliło na szybsze zagospodarowanie się. Niektóre rodziny skorzystały z możliwości wyjazdu na ziemie odzyskane, np. rodziny Malinowskich, Zawolskich, Chołujów, Michalczyków, Galeckich, Bąków.

Szybki rozwój wsi został zahamowany w latach 50-tych w wyniku wprowadzania kolektywizacji. Na rolników nałożono olbrzymie podatki, obciążono przymusowymi dostawami zboża, żywca, ziemniaków. Wielu gospodarzy nie podołało obciążeniom i dlatego większość gruntów przeznaczono na ugory a zarazem pastwiska. W latach 60-tych większość ugorów zalesiono, a pól uprawnych zostało niewiele. Kilku gospodarzy znalazło pracę w Puławach, gdzie budowano fabrykę nawozów. Natomiast młodzież, której było wyjątkowo dużo, po ukończeniu szkoły podstawowej, udawała się w różne strony Polski do szkół, fabryk. Kto opuścił wieś już nie wracał; zakładał rodziny i osiedlał się na stałe w Łodzi i miastach Śląska, Pomorza.

W wielu gospodarstwach pozostali starsi rodzice, którzy w latach 70-tych przekazywali gospodarstwa w zamian za renty rolnicze. Niewielu młodych ludzi zdecydowało się na przejęcie gospodarstwa po rodzicach. Gospodarstwa przekazane na rzecz państwa przejmowały spółdzielnie rolnicze oraz osoby indywidualne. Niektóre działki przejął od gminy p. Stanisław Kopciński znany fotograf zwoleniński. Na przejętych gruntach wprowadzał różne innowacje, nowe uprawy. Sposoby gospodarowania były przez mieszkańców różnie postrzegane, ale budziły powszechne zainteresowanie.

Rok 1981 dla wsi Ługi jest wyjątkowy. W dniu zamachu na papieża Jana Pawła II, 13 maja 1981 r., p. S. Kopciński został natchniony myślą, aby wybudować kościół we wsi Ługi, jako podziękowanie Matce Bożej za ocalenie życia Ojcu Świętemu. Swoją myśl wprowadzał od zaraz. Nikt nie wierzył w jego słowa i nic dziwnego. Powtarzano: budować kościół w takiej małej, biednej wsi – to niemożliwe. Jednak S. Kopciński, nie zrażając się przeciwnościami, rozmawiał z mieszkańcami sąsiednich wsi. Szybko zjednał sobie wiele rodzin, które zaangażowały się w niezwykle pomysł budowy świątyni w tej wsi. Argumentacja była słuszna, Ługi położone są wśród wiosek, które miały daleko do kościoła parafialnego (np. z Ługowa do Zwolenia jest 8 km, z Władysławowa do Policzny ok. 12 km). Plany S. Kopcińskiego były niesamowite. Obok budowli sakralnej miały powstać: szkoła, obiekty handlowe, w sumie centrum społeczno-kulturalne. Plany trudne do zrealizowania. Jednak raz podjęta myśl rodziła następne pomysły. Zachęceni mieszkańcy, zakupili drewniany dom w Bielinach, przewieźli i zestawili z przeznaczeniem na kaplicę. Stała na posesji śp. Sulimy człowieka szanowanego we wsi, który w czasach powojennych potrafił skupić mieszkańców wioski do wspólnej modlitwy różańcowej na tym placu. Zapewne wtedy nikt nie przeczuwał, że tu po-

wstanie świątynia. W ciągu kilku tygodni obiekt był gotowy. Mieszkańcy ofiarnie udekorowali wnętrze budynku w miarę swoich możliwości. Zakrystia znajdowała się obok ołtarza za zasłonami, gdzie ksiądz mógł wkładać liturgiczne szaty. Postarano się również o ławki, które zostały przekazane z kaplicy w Gniewoszowie. Wygląd wnętrza przypominał wiejski kościółek. Ogromne zaangażowanie mieszkańców w bardzo krótkim czasie doprowadziło do powstania wielkiego dzieła. Należy podziwiać inwencję i zaangażowanie mieszkańców. Pierwszy krzyż, który został umieszczony na szczycie kaplicy, wykonano w „Walterze”; z dużym narażeniem przemycono go, ponieważ w tym czasie wprowadzono stan wojenny. Dokonali tego pracownicy zakładu – Adam Tyburski i Stanisław Cywka. Dzwony zrobiono z dwóch felg i śruby jako serca. Pomysłodawcą i wykonawcą był śp. Ryszard Frydrych. Służyły one dość długo parafii.

Już w Święta Wielkanocne w 1982 r. rodak, franciszkanin, ojciec Szymon Bienias odprawił pierwszą mszę rezurekcyjną. Było niezwykle uroczyste, przybyły tłumy mieszkańców z okolicznych wiosek. Nadzieje i zapal mieszkańców rosły z dnia na dzień. Wyróżniali się w tym prawdziwi zapaleńcy, m.in. Tadeusz Krześniak, śp. Stefan Ambroziak, śp. Jan Gugąła z Władysławowa, Zofia Maciejczyk, śp. Józef Michalczyk, śp. Jan Stępień, z Ługów, Bogumiła Tuzinek z Filipinowa.

Następnym etapem były starania o utworzenie parafii. Proboszcz parafii zwoleńskiej, śp. ks. Franciszek Gronkowski nie wierzył, że może powstać parafia złożona z tak biednych wiosek i w takich trudnych czasach. Jednak S. Kopciński i mieszkańcy nie dawali za wygraną. Rozpoczęły się wyjazdy do kurii biskupiej i rozmowy z biskupem Edwardem Materskim. Ostatecznie wiosną 1983 roku ordynariusz diecezji radomskiej, bp Edward Materski ogłosił akt erekcyjny parafii Ługi pod wezwaniem Matki Bożej Fatimskiej. Administratorem został ks. Janusz Socha, który już wcześniej współpracował z mieszkańcami parafii. Rozpoczął się nowy etap w dziejach parafii, a mianowicie budowa nowej świątyni, która obecnie jest przepięknym obiektem sakralnym w naszej diecezji. Dokonał tego wraz z ofiarnymi parafianami ks. Janusz Socha, który 18 lat poświęcił tej parafii, a od 17 grudnia 2000 roku jest proboszczem w parafii Janowiec. Nowym proboszczem parafii Ługi został ks. Sylwester Górecki.

W ostatnich latach, przybyło wielu nowych mieszkańców, którzy wybudowali piękne domy. co spowodowało, że wieś jest atrakcyjna, gdzie cena działki budowlanej wzrosła dość znacznie. Dobry dojazd przy trasie T 12, piękne położenie wśród lasów, daje szansę na dalszy rozwój wsi i parafii.

Reasumując, można zapytać dlaczego w tytule użyto określenia „niezwykła historia małej wioski”? Uważam, że takie określenie w pełni oddaje obraz rzeczywistości, ponieważ gdyby nie natchniona myśl o budowie kościoła i wyjątkowe zaangażowanie śp. Stanisława Kopcińskiego w realizację niezwykle przedsięwzięcia, wioska wyglądałaby jak wiele innych, wyludniona, ze starzejącymi się mieszkańcami, nie wzbudzająca większego zainteresowania. Jego praca, poświęcenie miały ogromny wpływ na rozwój i obraz wsi.

Przychodzą mi na myśl słowa św. Pawła pisane do Koryntian: „przemija postać tego świata, ale rzeczy dokonane pozostają w naszej pamięci”. Aby ta pamięć trwała w nas trzeba przekazywać młodemu pokoleniu dzieje naszej małej ojczyzny. W czasach galopującej globalizacji warto zastanowić się nad swoją tożsamością i swoim miejscem na ziemi, do którego zawsze wraca się nawet z najdalszych krańców świata.





ISBN 978-83-929043-8-0



Europejski Fundusz Rolny na rzecz
Rozwoju Obszarów Wiejskich



„Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich Europa inwestująca w obszary wiejskie.” Wydatek współfinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Osi 4 Leader Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013. Instytucja Zarządzająca Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013 – Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi.